Nr. 4

ŚRODY LITERACKIE

KWIECIEŃ 1936.

ŚRODY LITERACKIE

KWARTALNIK

POD REDAKCJĄ TADEUSZA ŁOPALEWSKIEGO

NAKŁADEM RADY WILEŃSKICH ZRZESZEŃ ARTYSTYCZNYCH
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WILNO, OSTROBRAMSKA 9
ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

TREŚĆ NUMERU:

Jerzy Putrament: Dwie twarze nocy.
Juljusz Stefan Petry: Z dramatu p. t. „Kazimierz Puławski".
K. I. Gałczyński: Carmina.
Tadeusz Łopalewski: Codzień.
Nokturn.
Aleksander Rymkiewicz: Do Pani A.
Jerzy Putrament: Dwa wiersze z cyklu „Baniewo".
Aleksander Puszkin: Stance.
Ptaszek. (Przełożył Stanisław Cywiński).
Stanisław Stankiewicz: Współczesna poezja białoruska.
Zygmunt Falkowski i Lucjan Krawiec: Było tak, a jednak nie było tak. Rozmowa literata z historykiem.

KSIĄŻKI:

J. Wołoszynowski: Było tak.
S. Vincenz: Na wysokiej połoninie.
J. S. Petry: Lwie serca.
Na marginesie „Krzyżowców" Kossak-Szczuckiej (Wanda Dobaczewska).

NOTATKI:

Kronika muzyczna (ts.).
Pierwszy Konkurs Literacki w Polsce (Euzebjusz Łopaciński).

WOLNE WNIOSKI:

Farbowane serca i papierowe kwiaty (Jarosław Nieciecki).
Propaganda Wilna (F-k Ł-i).
Bałagan urbanistyczny

CENA NINIEJSZEGO ZESZYTU 1 ZŁOTY.

ŚRODY LITERACKIE

KWARTALNIK

KWIECIEŃ Nr. 4 1936

DWIE TWARZE NOCY.

I.

Wieść, że Dawluda wypuszczono z więzienia nie odrazu przybiła Leonczuka. Opatrzył ogrodzenie, bramę i broń, postanowił spuszczać co noc parę wygłodzonych wilczarów, niespokojne myśli odpędzał pracą. Ale nie mógł bronić się snom, tędy nadeszła katastrofa. Sny to noc, a noc to ruina postanowień, obrazów i pojęć, to ruina logiki dnia.

We dnie czuł się lepiej, światło dzienne przywracało przedmiotom ich bezpieczne kontury, a myślom realność. Ale dzień się kończył, dzień stawał się coraz krótszy. Kiedy razem z syreną dalekiej huty na niebo wypływała pierwsza szarość jesiennego zmierzchu, a chmury stawały się cięższe i niżej spadały na czuby więdnących brzóz, Leonczuka opadał niewytłumaczony zrazu niepokój, w następnej chwili nadchodziło przypomnienie, rzucał pracę, stawał na środku podwórza tępo wpatrzony w jakiś groźny daleki punkt. Myślał, czy warto coś robić, gdy niewiadomo, co będzie z nim i jego dobytkiem już jutro, pojutrze, kiedy? Niepewność i bezcelowość jego codziennych zajęć stawały mu nagle i jaskrawo przed oczami, niezdarnie zawracał do domu. Niepewność i bezcelowość — to go za dnia gnębiło. Ale noc zaciera kształty i barwy przedmiotów, ze znanych, zwyczajnych tworzy nowe, niepewne i dziwne. Jego dzienne zmartwienia traciły w ciemności wyraźne, konkretne znaczenie, rosły, stawały się czemś jednem, ogromnem, grożącem, stawały się strachem. Mrok czołgał się z lasu, zasnuwał cieniami krzaki, zbliżał się zwolna do płotu. Podwórze stawało się wyspą czy twierdzą, czasem o zmierzchu Leonczuk wychodził trzy kroki za bramę, rozglądał się po niskich jałowcach, patrzył na coraz ciemniejszy las i słuchał. Wieczór szeleścił i dyszał, jak żywa istota, po krzakach przebiegały szmery, znienacka trzaskała gałązka i nagle robiło się nieswojo. Cofał się, zamykał bramę, obchodził dokoła podwórze. Czuł się tutaj pewniejszy, płot ostrą wysoką ścianą bronił go przed napierającą ciemnością, tutaj było wszystko swoje, znane, bezpieczne; tam rosła noc.

Ale wystarczyło wejść do domu, aby prysły obronne sztachety. Ciemność wdzierała się wewnątrz, czaiła się teraz tuż za oknami. Kiedy wychodził na ganek czuł jej wilgotny oddech i uparte spojrzenie. Patrzył oparty plecami o drzwi, bał się odwrócić. A kiedy, bardziej zmęczony wieczornym niepokojem niż pracą całego dnia, kładł się, zgóry wiedząc, że zaśnie nie prędko, dom, jego własny dom stawał się czemś obcem i wrogiem, noc zatapiała wszystko, chyliła się nad nim, zazierała mu w oczy. Leżał skulony, bojąc się ruszyć, wsłuchiwał się w każdy szmer, w każdy powiew i ruch, każde drgnięcie zaczajonej czarnej ciszy. Czuł wtedy całą swą nicość, wiedział wyraźnie, jak nigdy, że świat to dwie siły: on i wszystko poza nim, a to wszystko to noc, zjednoczona by czyhać na niego i grozić.

Jesień rosła, noce stawały się dłuższe. Zerwał się wiatr, cały tydzień dął ponad lasem, liście leciały stadami czerwonych ptaków, na rozdrożach wiły się słupy burego kurzu, wyły kominy, okiennice zgrzytały i biły o ściany, a w górze niezmierzonem morzem biegły chmury ciężkie i postrzępione, masywne jak fale zgniłej, zielonej wody, to znów rozwiane kłębami węglowych dymów, albo niskie bezbarwne, elastyczne, jak błony. Aż którejś północy stanęły, wiatr ucichł, a ranek obudził nieustanny, ziębiący deszcz i padał tak długo, że stał się w końcu czemś nieodłącznem od świata, jak dzień czy noc, albo raczej jak dzień i noc, jak następstwo ciemności i światła. Wieczory rosły.

W tym czasie Leonczuk zwrócił uwagę na psy. To samo szczekanie, które w dzień było najzwyklejszym odgłosem życia, w nocy stawało się inne, ciemność je zabarwiała swoistą, posępną melodją. Psy mają swój alfabet, albo raczej gamę, inaczej szczekają na zwierzęta, inaczej na ludzi, a nawet inaczej na ludzi idących otwarcie, inaczej na tych, którzy wolą podejść ukradkiem. Porywiste, gwałtowne szczekanie, w którem znać oburzenie, naganę, przestrogę — to nieporządek wśród ptactwa czy trzody, gościa nieproszonego wita wybuch gniewnysh, warczącycb tonów, wieczorami z jakiejś zagrody wyrwie się krótkie szczekanie i biegnie od chaty do chaty długo po tem, jak winowajca zapomniał i zasnął. Psy wyrzucą kilka wysokich okrzyków i słuchają; zdaleka idzie ledwo dosłyszalna odpowiedź, znów kilka tonów i przerwa. Na zmianę, bliżej i dalej i tak daleko, że dziwnem się zdaje, jak mogły dopłynąć, aż tutaj, biegną drżące jękliwe ostrzeżenia, pytania, przestrogi, cała okolica trwa powiązana łańcuchem alarmu, a gdzieś w głębi nocy błądzi coś, co wzbudziło niepokój, zbliży się do osiedla i znowu się cofnie, spłoszone. Te wszystkie odcienie psiej mowy znał dobrze Leonczuk, znał także inne, bardziej szczególne, ale tego co nocą mówiły

mu jego psy — nie rozumiał. Ani tchórza czy kuny w kurniku nie wieściły, ani wilka nadejście z moczarów, ani nawet złego człowieka. Może zresztą te nowe brzmienia słyszał tylko on sam, może psy szczekały, jak zwykle, dość, że nie mógł ich słyszeć bez nagłych, zimnych fal niepokoju przebiegających po rękach i plecach. Którejś nocy nagle zbudzony usłyszał ich głosy i cały się zatrząsł, napół sennemu brzmiały niesamowicie, jak to o czem śnił, były równie dalekie od zjawisk realnych, jak postacie i głosy ze snów. Zrozumiał: psy ujrzały coś niezwykłego i boją się. Wsłuchiwał się drżący, aż strach, który wzbierał z każdym szumiącym przypływem tętna na skroni stał się nie do wytrzymania i wymógł na nim rozpaczliwą decyzję: pójść i zobaczyć. Jaknajciszej otworzył drzwi, aby wkroczyć w noc niepostrzeżony; ogarnęły go zimne, puszyste ciemności, drobna mgła nie padała, trwała nieruchomo w powietrzu, idąc czuł na policzkach muskanie wilgotnych, długowłosych futer. Psy usłyszały go i trwożliwie umilkły, jakby im dodał otuchy. Patrzył, ale ciemność była jednolita i zwarta, pochylił się, aby ujrzeć czarne zarysy budynków na tle nieba, ale niebo było bardziej czarne, budynki w niem utonęły. A gdy nareszcie zobaczył stodołę, spostrzegł zdumiony, że jest ona jaśniejsza od nocy, jest prawie szara szarością zgniłego papieru. Z mroku wyrosły drzewa i płot, chciał przetrzeć oczy i ujrzał własną rękę, świeciła różową poświatą, obejrzał się.

Daleko był pożar. Nad horyzontem leżał pas ledwo dotknięty ogniem, tem czarniejszy im bardziej czerwono paliło się niebo tuż nad nim. Brudnokrwawe kłęby falowały, przelewały się, nagle buchnęły płomienną fontanną do góry i padły spowrotem, zostały po nich rudawe coraz rzadsze rozpryski; po drugiej stronie skupiły się czarną ławicą ciemności.

Patrzył długo, zdziwiony jakąś niezwykłością tego pożaru. Wreszcie zrozumiał: spokój. Żadnych krzyków, żadnych odgłosów, psy nawet milczały, tylko czerwone obłoki wyrastały, kurczyły się, słabły i wzmagała się czerń ponad lasem. Nawet wiatru nie było czuć ani słychać. Ale kiedy wsłuchał się w noc, po chwili ogromnej ciszy doszły go jakieś lekkie szelesty, jakby dołem coś zwolna pełzło — to spadały uschnięte liście. Ruszył do domu, z wysiłkiem zwalniając krok, chwycił za klamkę i spazmatycznie zatrzasnął za sobą drzwi.

Równie silne wybuchy nagłego strachu przynosił mu każdy nieoczekiwany szczegół, każda najmniejsza niespodzianka. Odkrył w życiu, które dotychczas pojmował, jako system zrozumiałych, naturalnych wydarzeń, cały świat, cały ogrom niezwykłości i przerażenia. Wsłuchiwał się w leniwy klekot wieczornego deszczu za oknem i szukał, słyszał

w nim skradające się kroki, jałowce o zmierzchu nabierały zarysów ludzkich sylwetek, niedomknięte drzwi zdawały się cicho, powoli otwierać. Regularnie co wieczór opadały go te same trwożliwe nastroje. Niebezpieczeństwo nie rozwiewało się ni na chwilę, ale w dzień czyhało daleko, kryło się gdzieś w granatowych ławicach lasów na horyzoncie, a co wieczór wynurzało się stamtąd, szło przez oparzeliska, karłowate sosnowe zarośla, czołgało się przez obrośnięte mchami polanki, aż stawało co wieczór bliżej o krok. Jego cień się odbijał na wszystkiem. Każdego wieczoru chadzano do obory karmić krowy, latarnia płynęła w ciemności, wynurzała się nagle z za rogu, szyby zalewała czerwień, na ścianach ciemnego pokoju kołysały się krwawe plamy, przebiegały, wracały, uderzały o lustro, a wtedy błyskała głębia, przepaść o purpurowem dnie wybita w grubych pokładach ciemności. Przepaść nikła natychmiast i raptem buchała gdzieindziej, na czerwonych, sunących kwadratach miotały się długie sprężyste łodygi czy węże, czarne ręce wykwitały znienacka, dziwacznie się gięły, zaciskały pięście i gasły, po szybach spływały krwawe krople. Czerwień niosła niesamowite życie, za jej dotknięciem ściany zaczynały pełzać i drgać, podłoga usuwała się z pod nóg. Czuł mdłości i zawrót głowy. Zamykał oczy.

Potem przyszły zjawiska bardziej dziwaczne. Opadały go luźne obrazy, nie mając z nim nic wspólnego; próżno bronił się, myśląc o pracy, o czemś innem: wracały tem uporczywiej. Dziwy z bajek, pokraczne zwierzęta, nietoperze ogromne, nieboszczyki wstające nocami siwym słupem z nad mogił, upiory, nogi odcięte wędrujące w ciemnościach po bagnach; odpędzone wracały wyraziste, plastyczne, prawdziwe. A gdy raz się wdarły, biegły niepowstrzymanym strumieniem skojarzeń, wiedział, które nadejdą i kiedy, wiedział kiedy nadejdzie ostatni, najgorszy, najdalej odepchnięty przez dzień. Obraz ten był zupełnie zwyczajny: nocą w lesie gęsto stłoczonych sosenek paliła się świeca. Jedna świeca, żadnych postaci, tylko gęste cieniutkie pnie, korytarze ciemności i płomień. A jednak wystarczyło plastycznie to wyobrazić, by po włosach przebiegł ohydny dreszcz i palce stały się mokre.

A to wszystko przez sny. Już od rana słyszał ich szept, południe mijało i wnet z nad rozpadlin zaczynał sączyć się zmierzch. Od rana deszcz nie ustawał, padał równy, drobny, powolny, niebo nisko zwisało nad lasem oślizgłe, jak mgła, sczerniały gałęzie i pnie, deski płotu sterczały czarne i chropowate, jakgdyby wytarte skrzypiącym węglem, siwe porosty, jak gąbki opite wodą, pleniły się bujnie w jałowcach,

kity sosen zwieszały się ciężko na piaszczyste, zrudziałe ścieżki, nad łąkami stały płaskie ławice tumanu, w zwiędłej trawie rosły jeziora, okna płakały i krople po szybach ściekały z każdą chwilą ciemniejsze. Szedł wieczór.

Cienie drzew się dłużyły, każdy krok ich oznaczał zbliżenie się nocy i snów. Nadchodziły zawsze te same i co noc bardziej męczące. W nieskończonych odmianach przeżywał ucieczkę, ukrywanie się przed pogonią, słyszał i czuł, że się zbliża i wiedział, że jej nie ujdzie. Ani grube ściany, ogromne rygle i zamki, ani gęste zarośla, niedostępne bagniska moczary nie chroniły go; leżał ukryty w kwitnącym łubinie, stłoczonym na wyniosłem urwisku i widział ciągnący pościg, przodem biegły psy o burych, kosmatych karkach i nim jeszcze zwycięsko krzyknęły już wiedział, że widzą; w ogromnym budynku biegł po schodach na górę, zatrzaskiwał za sobą drzwi, mylił, plątał się po korytarzach, na piętrze najwyższem zabrakło mu wyjścia, przed pogonią uderzył oburącz w okno, szkło zabrzęczało, skoczył, poleciał, ale niebo zwierało się ponad nim w coraz to nowe sklepienia, zamykało go w ciasne przegrody, więziło, a śladem dążyła pogoń; albo znowu musiał iść drogą mimo ruin grożących mu, szedł, mijał i kiedy chciał śpieszyć, zerwać się, biec, nogi nagle stawały się ciężkie, nie mógł ruszyć i przeżywał i czuł, jak mijają ostatnie sekundy ratunku. A kiedy się budził, dzień nie przynosił mu ulgi, nie mówił, że to wszystko są przywidzenia, dzień potwierdzał sny.

II.

Była noc. Dawlud zanim ruszył, wyszedł na ganek i wrócił mając usta pełne zimnej, wilgotnej mgły. Jeszcze raz przytulił się do pieca, prostując stężałe dłonie, jeszcze sprawdził nóż, zapałki i buteleczkę z naftą, ziewnął, przeciągnął się i poszedł. Noc go odrazu otrzeźwiła, pierwsza sosenka kitą nabrzmiałą od deszczu starła mu z oczu senność i zmęczenie. Zaraz za zagrodą skręcił z drogi i zanurzył się w las. Szedł z rękami przed głową, chylił się pod śliskiemi rózgami brzóz, odginał długie gałęzie osin, czasem uderzał ramieniem o wystający sęk, wtedy ze spłoszonego drzewka spadało stado ziębiących kropel, spływało po twarzy i wsiąkało w ubranie, zwolna docierając do ciała. Nogi grzęzły w chlupiących liściach, zapadał w wykroty, potykał się o śliskie pnie i widłowate korzenie. Szedł stłoczonemi zagajnikami, kierując się ledwo widzialną łuną dalekiej huty. Na jej tle wypływały czarne, ostre plamy sosen, owalne sylwetki brzóz śpieszyły bez końca,

na miejsce jednej wyskakiwały pękami nowe, trójkątne profile osin płynęły wysoko ponad nim, aż stracił poczucie czasu i miejsca, to zbiegowisko szczerniałych i mokrych zarośli stało się jedynym, rzeczywistym światem; ciepłe, suche mieszkanie i dzień: o tem nie potrafił pomyśleć. Buty mu wnet przemokły, zmarzłe palce nóg ślizgały się po mokrej podeszwie, czapka ociekała deszczem na twarz, odgarniając ostre jałowce do krwi pokaleczył palce. Czasem stawał przed jakąś rozłożystą kępą: była cisza, tylko deszcz szeroko szeptał po liściach, a szmer ten zlewał się w jedno kołysanie z szumem krwi w skroniach, tak był równy i bliski. I znowu krzaki wezbraną rzeką, górą po niebie czarne kopuły, kłęby rozczapierzonych mioteł, zygzaki, pękate szczyty, dołem sprężyste, oślizgłe, chlaszczące po policzkach witki, kłujące szczotki igieł, albo rozłażące się po twarzy zimnemi płatkami chropowate, pokurczone liście. Tak jednostajne i trwałe, tak pochłaniające zmaganiem się ze sobą było to wszystko, że kiedy pękło splątane kłębowisko, a wyrwa urosła, Dawlud dopiero poczuł pierwsze drgnienie niepokoju. Przysunął się do skraju zarośli i, ukryty za ostatnim wybujałym jałowcem, rozejrzał się po okolicy. Niewiele zresztą zobaczył. Pole leżało przed nim ciemną równiną, obramowaną czarnemi ścianami dalekiego lasu i niskiem, rozmokłem niebiem. Oto wszystko. Wysłuchał szemrzącej deszczem ciszy i poszedł brzegiem zagajników, wpatrując się niespokojnie w każdy wystający krzak, w każde skupienie ciemności. Krok jego stał się ostrożny, każde drgnienie nocy przykuwało go na miejscu, słuchał i słyszał, jak mu wali serce. Przeciął drogę, doszedł do niewielkiego gaju, gdzie się kryła zagroda tamtego. Noc otoczyła ją czarnym kłębem, maskując sto niebezpieczeństw i niespodzianek. Skradał się od drzewa do drzewa, przywierając się cały do pnia, zespalając się z nim w jedną bryłę ciemności, zanim zrobił krok wzniesioną nogą macał przed sobą ziemię, chylił się przed każdą gałęzią, omijał splątane krzaki. Nagle nastąpił na spróchniały sęk, trzask buchnął po lesie, zahuczał mu w uszach, jak piorun. Zamarł na miejscu nie śmiejąc się wyprostować i stał, czekał, aż zdrętwiały nogi, a w głowie zaczęło wirować. Wtedy zdecydował się wyjść z lasu na drogę, gdzie mokry piasek tłumił kroki. Sunął tędy, jak ciemny obłok, bez najmniejszego szmeru; szedł i słuchał, nie przeszkadzał mu w tem żaden własny ruch. Za zakrętem znowu przystanął, kilkanaście kroków przed nim czerniła się brama, lasem biegł wysoki, ostro ciosany płot. Deszcz ustał, budził się wiatr, gdzieś daleko przed nim śpieszył po drzewach kołyszącym się szumem. Zeszedł z drogi pod duży krzak, czekając, aż uderzy pierwsza szeroka fala i ukryje jego ruchy w poto-

ku przelewających się szelestów i zawodzeń. Wiatr biegł, uginał szczyty, wrywał się w polanki, zbliżał się, szumiał teraz tuż-tuż, za dziesiątą sosną. Nagle Dawlud rzucił się w bok: z poza sosny, za którą stał, kołysało się tuż przed nim ogromne, kosmate ramię. Zanim krzyknął, zrozumiał, że przyszło to na co czekał, to zadrżała pierwsza niespokojna gałąź. Dopiero teraz krew mu uderzyła do głowy, długą chwilę czekał, aż trochę ochłonie.

Las ożył; zaszumiały suche badyle przy płocie. Skradał się wzdłuż chropowatych desek, krzaki dochodziły, aż do ogrodzenia, każdy krok kosztował wiele uderzeń serca, słuchania, wymacywania niepewnego gruntu i wpatrywania się rozszerzonemi oczami we wrogą ciemność. Wdzierał się wzrokiem przez wąskie szpary; z mroku wypływały ciemniejsze masywy, oto stodoła, słomiana strzecha o jakieś dwa kroki od płotu. Wiatr bił się w gałęziach, podwórze spało. Wyszukał za deskami dwa ostre szczyty sztachet i podciągnął się. Ale płot był oślizgły od deszczu, już uniósł głowę nad ogrodzeniem i wparł się jedną nogą w deskę, aby przełożyć drugą, gdy nagle się zachwiał i zjechał nadół rozdzierając dłoń o śpiczastą zadziorę. Nasłuchiwał niespokojny, ssąc krwawiącą rękę. Było cicho. Wtedy znów ruszył szukając jakiejś spaczonej czy złamanej deski, którąby dała stopie choćby najmniejsze oparcie. Stodoła przeszła w chlewek, chlewek w dom, a płot, jak na złość, był równy, gładki, bez najmniejszej skazy. Kiedy wreszcie znalazł okrągły otwór po wybitym sęku, dom już się skończył, sterczały rzadkie kikuty młodego sadu. Znów rękami za szczyty, wparł się i stanął na wąskiej poprzecznej żerdzi. Opuszczał się powoli, długo machał nogami szukając oparcia, palce spęczniały od krwi, wreszcie wyczuł jakiś twardy punkt i stanął. Zdyszany, podejrzliwie się obejrzał. Trzydzieści kroków przed nim czerniła się stodoła, aby dojść do niej musiał minąć dom, przejść tuż przed oknami. Patrzyły w niego głęboką, gładką czernią — były to oczy rozumnej, myślącej istoty, niemal się dziwił, że wszystko pozostało spokojne, że nie ostrzegły.

Stodołę rozpierało zboże, słoma wyłaziła przez szpary. Przysiadł oparty o okrągłe belki, szukał zapałek. Nagle gdzieś zdaleka dobiegło go krótkie, ledwo dosłyszalne szczekanie. Słuchał z zaciśniętemi wargami. Z przeciwnej strony przyszła bliższa odpowiedź. Za stodołą jakby się coś ruszyło. Cały drżący tulił się do ściany, niespokojnie oczekując. Chwila, długa chwila ciszy, już zaczął znowu gmerać w kieszeni za zapałkami gdy nagle blisko, nieprawdopodobnie blisko buchnęło donośne, wysokie szczekanie i potoczyło się po dźwięcznym lesie kaskadą rosnącą nieustannym echem. Biło go, świdrowało skronie, chciałby

oburącz owinąć głowę. Już ustało, a jeszcze drżały mu w uszach kłujące refleksy. Psy się zbudziły. Ale zanim uświadomił sobie wszystko, co z tego wynikało, psy krzyknęły znowu. Zadrżał. Szczekanie szło teraz skądinąd, gdzieś z pod bramy. Psy były spuszczone. Wówczas przywarł do ziemi opanowany głupiem pragnieniem wtłoczenia się, wsiąknięcia, ukrycia się w niej przed groźnym mrokiem, osaczającym go stu coraz bliższemi ramionami. Róg stodoły czernił się o pięć kroków, patrzył na nierówny występ, skąd każdej chwili mogło wyłonić się to, przed czem się krył. Psy umilkły. Nadleciała ciemniejsza chmura i sypnął deszcz, spływający długiemi kroplami tuż koło butów. Poczuł wzbierające zimno, kurczył się, trwał, pełen przemożnej nadziei, że psy zasną. Ale na dalekie wezwania, po nieznośnie dłużącej się przerwie buchały wysokie odpowiedzi i znów i znów biegły ponad nim, przygniatały, wciskały go do kąta między belkami ściany i miękką, rozmokłą ziemią. Wkońcu niemal zapominał, po co się tu znajduje, wszystko straciło sens i zarysy rzeczywistości, została tylko noc, rozdzierana coraz rzadszem szczekaniem, ciążąca na twarzy ogromnem, zimnem brzemieniem. Z trudem otwierał oczy, ten sam oślizgły, nagi pręt jakiegoś drzewka wznosił się tuż przed nim, rozcinając mroczny świat na dwie kołyszące się połowy. Jak długo to trwało? Wiatr cisnął zabłąkaną kroplę na policzek. Chmury pękły, ujrzał wysoko między sosnami dwie drżące gwiazdy.

III.

Leonczuka tej nocy opadły przyjemne sny. Kwitły łąki, co wyższe zioła sięgały mu aż pod brodę, słońce miękko pieściło mu twarz. Psy szczekały, była niedziela, koło bramy kręcił się koń, zaprzęgano go — czas do kościoła. Psy szczekały, koń targał głową, opadły go duże, zielone gzy. Pora jechać. Leonczuk stał koło sadu, wszystko było gotowe, a jednak czuł, że musi na coś zaczekać. Pszczoły brzęczały w młodych, kwitnących czereśniach, upał wzrastał, podwórze mieniło się słońcem. Czekanie zaczęło go męczyć, niecierpliwie ruszył pod bramę. Nie doszedł. Psy zakrzyczały gwałtownie. Słońce jakby opadło niżej i nagle wybuchło, świat się zamienił w ocean krwawej jasności i żaru.

JERZY PUTRAMENT.

JULJUSZ STEFAN PETRY.

Z dramatu p. t. „KAZIMIERZ PUŁASKI“.

Pułaski

Kto ty?

Sawa (milczy)

Pułaski

Na Boga ktoś ty?

Sawa

Byłem tam w Baru,
Kiedyście święte hasło rozwinęli —

Pułaski (jakby przypominał)

Tak, pomnę, byłeś razem z nami w Barze,
A potem?

Sawa

Potem pod Trójcy Świętej Okopami

Pułaski

Tak, byłeś z nami doradco szalony,
Gdyśmy płynęli tam na krze dnieprowej
Ku Polsce...
Dzisiaj znowu mnie odwiedzasz
Kiedy się waham, nie umiem stanowić —

Sawa

Rękę ci podaję —

Pułaski

Maszli moc i oczy lwa?..

Sawa

Mam ciebie, ty mnie znasz —

Pułaski

Ktoś ty?

Sawa

Nie zalegam pola,
Nie cofam się, lecz idę naprzód, mroki trzebię,
Noc — łamię!
(wpatruje się weń długo — jak zmagnetyzowany)

Pułaski

Tyś jest moc, tyś wola!

Sawa

Gdy ślepy naród w rozdwojeniu żyje,
Z ciemnych rozpadlin pełzną k'niemu żmije
Przychodzę —

Pułaski

Oto cię bracie witam w naszem gnieździe —

Sawa

Z wędrówki wracam długiej i mozolnej.
Byłem tam, wszędzie, całą Polskę zszedłem...
O byłoby mi lepiej
Oczy wyłupić i słuch przytępić. Naród niezna drogi
I brnie w podłości.
Podają pokorny grzbiet razom wroga.
Gnębiony ciśnie jeszcze butem kmiotka
Głębiej ku ziemi, orze nim — sieje jego kośćmi rolę
I tak choć jeszcze na wolności niby
Przecież w okowach nasze życie płynie —
I niewolnicy rodzą niewolników...
W stolicy możni jako lunatycy
Swych żądz, w kart pąku szukający szczęścia —
A nad tem wszystkiem czuwa On z koroną
Chrobrych, wieczyście na bok pochyloną,
Jakby już chciała upaść...
(oddycha ciężko)

Pułaski

Więc co mam czynić?
Choćbym uzbroił tysiąc na miljony
I w mur ten rzucił
Zgasną, zbledną, nie dojdą nawet
(smutno)
Możemy tylko rozbłysnąć i zginąć,
A z naszej krwi wstanie Mściciel —

Sawa (mocno)

Nie! Nie! Nam samym chwycić bryłę świata
W ręce i pchać ją w dobro, w wolność, w szczęście —
Bo szczęście tylko w ziemi mężnych kwitnie
I tylko mężnym w płomienistym krzu
Bóg się objawi. Bowiem Bóg jest siła,
Jest moc, którą aby człowiek ujrzał a nieporażon był

Musi ją krwią swą zdobyć,
Wysiłkiem wszystkich sił!

Pułaski

Wszakżeśmy wyszli na tę świętą wojnę
Przypiąwszy skrzydła husarskie do ramion
I nie ustaniem.

Sawa

Trza nam wyrąbać przyszłość z szablą w dłoni,
Strącić koronę zgniły snop wiążącą,
Burzę rozpętać jakiej niebywało.
Z tej burzy wysnuć dzień.
Niech naród sam opowie się za sobą.
Niech znikną wielcy a powstaną mali
Niech się zrównają góry z dolinami.

Pułaski

Gdzie twoje oczy błądzą? — Ty w dal sięgasz,
Gdzie ja już dojrzeć nie mogę niczego
(w zachwycie)
Lecz czuję w piersi wiosnę, wiosnę głosisz...

Sawa

Widzę ich — idą ludy jako las,
Wstrząsając dumnie krwawym liściem zorzy,
Idą, nie oprze im się noc — w nich jutrznia,
Którą człek musi codziennie oglądać,
Aby nie zmarniał i nie skościał w lód...

Pułaski

A my, a Polacy?

Sawa

Wolni —
Z tej jutro przez nas roznieconej burzy
Wstanie rzecz sama, wstanie nasza przyszłość.
Niech tylko teraz podczas zawieruchy
Objawi naród wolę jaką ma
Otrząśnie z siebie te gałgany pstre,
Co przykrywają królewski gronostaj,
A gdy się ze snu dusza wymozoli
Same opadną kajdany niewoli.

CARMINA

IV

Myśmy mieli się spotkać na moście
by pomówić o naszej miłości
pod tym klonem, koło budki z papierosami;

ale, jakem przewidywał: oczywiście
most w powietrze wysadzili komuniści —
no to gdzie się teraz spotkamy?

Wszędzie duszno i ciasno — lecz znam ja
pewien kraj pod nazwą Farlandja,
tam jest niebo śpiewające i palmy...

No, no, nie płacz, nie troskaj się, nie martw,
że tego mostu już niema —
my się jutro w Farlandji spotkajmy.

V

Palmy się kołyszą,
palmy się kołyszą —
tak — tak — tak.

Tu wszystko zostało,
tu więcej nie wrócę —
nie — nie — nie.

Ptaki nad palmami,
w palmach słodkie miąższe —
mi — ma — mi.

Karmimy się snami,
a w snach znów najdroższe
palmy.

Palmy się kołyszą,
palmy się kołyszą —
zadużo.

To jest kraj, który jedziemy odkryć,
bardzo wiotki, bardzo słodki —
Farlandja.

X

Krzyczysz przez sen. Lampa dymi.
Natalja! Natusia!! Natałka!!!!
Czemu, czemu nie uciekłaś na Kaukaz
razem z ojcem i braćmi twoimi?

Tutaj, widzisz, dni niechętne płyną,
z katarami i aspiryną,
a chmury są coraz bardziej trwożliwe...

Tambyś miała maurytański zamek
i winnice i konie stadami —
oczywiście, gdyby to było możliwe.

XI

Moja mała bardzo lubi rosół,
moja smagła, moja smukła;
gdy je rosół, to ja jestem wesół,
bo to szczęście, gdy jest rosół i bułka.

W jadłodajni dla bezrobotnej inteligencji
pod afiszem Ligi Morskiej i Rzecznej
moja mała ma miejsce bezpieczne,
dużą łyżkę trzyma w małej ręce.

Tuż w szachy grają dwa biedne djabły.
Śnieg, śnieg po Wilnie hula...
Kreślę na dłoni smukłej i smagłej
drogę dla bajki o Trzech Królach.

XV

Proszę, proszę, rozgość się, serdeczny,
rozejrz się dokładnie po wszystkiem;
to jest czajnik — prawda, jaki śmieszny?
z gwizdkiem.

To mruczenie? Powiem ci w sekrecie:
jest mruczeniem kota Salomona.
A ta pani zamyślona, z kwiatami —
to moja żona.

CODZIEŃ.

Pod horyzontem na czubach traw
brzask zatrzepotał, spłoszony paw.

Ranek, różowe niemowlę powieki srebrne od rosy
rozchyla i usta otwiera ku piersiom Wenus wezbranym,
dzbany kapiące złotem Wenus wynosi z piwnicy
nocy, i sen ostatni jak gwiazda opada na dno.

W studniach woda w lazury przystraja się, a ptak
z kłębka na obłok przeciąga dzwoniącą stokrotnie nić,
w dzwon kościelny potrąca zbudzony wysoko Bóg
i przelatuje nad głową ton święty bronzowy żuk.

Człowiek konia zaprzęga, klacz po kolana we mgle
rży miękko wstrząsając grzywą,
z obory paruje mleko, krowa rusałcze oczy
utkwiła w kuźni otwartej, gdzie błyska pierwsze paliwo.

Pszczoła po czole nieba promiennie pełznie wzwyż
i żółty kwiat słonecznika obraca za nią twarz,
motyl tęczą powietrze między liśćmi nasyca,
z kokonu rozhuśtanego wywija się gąsienica
mierząca rytmicznie świat.

Na drodze nogi wędrowne niecą pośpiech i pył,
wieś, miasto, cisza i śpiew,
i znowu przestrzeń jak step,
jak strumień zieleni z rozciętych wiośnie żył.

Tak to rośnie i wzbiera, tak to przybiera i szumi
biała rzeka dnia,
niesie powietrze, dzwon, ptaka, motyla i ludzi —
tylko ciebie nie uniesie, o miła,
tylko ciebie nie podniesie ze snu,
ze snu, którym raz się zasypia,
z którego się nigdy nie wstaje
ani tam, ani tu.

NOKTURN.

Nowogródek śpi w puchach. Na górze Mendoga
śniegiem fosy zawiało. Śnieg sypie od wczoraj.
Pod zamkiem na Żywilę czeka rycerz Poraj
konno, z lutnią i mieczem, i w złotych ostrogach.

Żywila śpiewa z wieży — a może Aldona
na harfie gra ci, Alfie, pieśń do Wallenroda?
A może to Maryla balladą spłoszona
przy świecy książkę czyta? O świeco niedobra,
właśnie musiałaś zgasnąć i niema co palić.

List z Kowna nieotwarty, a w snach szumi Paryż.
Ktoś idzie pustą sienią, ktoś pod drzwiami staje:
czy to wraca umarły na młodości kraje?
czy sadem wiatr przepłynął, czy Niemen i Wilja?
czy serce skrzydłem bije w lodowatą pierś?

Przechylam puhar nocy, gorzką ciemność spijam
aż z dna jak perła błyśnie księżycowy wiersz.

DO PANI A.

Już dzisiaj stań nad moim trupem
i pieść swój głos srebrzystą łzą,
a wtedy śmiech jak koń zatupie
i nocny ptak wyleci z rąk.

Opadnie na ściemniałą rzekę
zmrożona piana nocnych ros,
więc moja naga pierś zaczeka
na twój wezbrany ciemny włos.

Jedynie dzisiaj nurt obłoków
zatrzymaj nad krawędzią siół,
a patrząc w moje szklane oko
zapieje księżyc — jasny kur.

Jakby wyjętą z mego ciała
bieloną przytknij kość do ust
i zagraj na niej o słowiku
palonych miast w dzwonieniu uzd.

JERZY PUTRAMENT.

DWA WIERSZE Z CYKLU „BANIEWO”.

I

Długo mokły nad jeziorem olszyn miotły,
mrocznie wieczór dźwigał się porębą z boru,
chmury czoła o grzebienie sosen gniotły
i zawołał po dolinach pierwszy piorun.

Grom borykał się i urwał, przeszedł w szept,
z ziemi rosły nieruchomo szare grudy,
gęściej chmury przywaliły czuby drzew
i zawołał piorun po raz drugi.

Drgnął i poszedł między las kołami łopot,
trzeci zew uderzył z dołu lepki pułap,
wiatr wybuchnął na rozdrożu, runął potok
kotłujących się kłębami piany mułów.

Przebiegały, potrącały się, tak nagle
wyzwolone, że ogromne łzy posoki
na sczerniałe pnie padały i o nagie
sęki dębów rozdzierały białe boki.

Trysła krew, o ziemię grad czerwonych monet
bił garściami, jeszcze pękające dźwięczą,
a już wyżej wyjrzał błękit niezmierzony
i wyrastał w głębi pełnią coraz większą.

Świat się nagle stał ogromny, zobaczyłem
za gronami szaropurpurowych bazi,
owal i w owianych oliwkowym pyłem,
nad niebieską wodą, jak antyczne wazy.

Odtąd codzień przestronniejsze są i dalsze,
wieczór stopy im omywa ciepłą chmurą
i co wieczór przez śpiczaste dębów palce
woła słowa przezroczyście i ponuro.

A daleko, w sinych lasach, nad kołami
czarnych jezior toną drzew rogate żużle,
granat nieba pada w głąb i z otchłani
płyną srebrne bąble, zataczają krąg
i unoszą się powoli w cichą próżnię.

II

Gwiazdy z dna leśnych jezior płynące północą
nie cieszą, przezroczyste, zapatrzonych oczu,
nim się jeszcze z kosmatych gałęzi wyplączą
już je nasza tęsknota dosięga i mroczy.

Co noc czekamy na nie z jednakową wiarą,
że nasycą nas mocy nieznanej spokojem,
parują mleczne liście, stygnie pierś moczarów,
po palcach spływa ciemność ciężkim, zimnym zdrojem.

I oto wschodzą, wątłe, bielejące krople,
dmuchawce niewystałe i już rozproszone,
bezradnie nadpływają, a rozwarta topiel
unosi się, wydyma górą chłonne łono

Patrzymy, jak się chwieją i wiemy, że widząc
ich obcość, bieg daleki, bieg niepostrzeżony,
widzimy tylko siebie i sobie się przyznać
bronimy się, boimy, bo znamy ich koniec.

Przybędzie nocy, silniej ciemny sięgnie masyw,
gdy zatrzepocą niebo nie ozwie się łuną,
a gdy dobrną do kresu czarnowłosych lasów
nie pryśnie mrok, nie pluśnie liść, bezsilne runą.

Wtedy wrócimy, zimną powitani ciszą,
lasem bezszumnie sunąc, jak ciemne obłoki,
a sny szeptami skrzydeł głowy rozkołyszą
i dłoń na czoła złoży przedświt białooki.

STANCE.

Czy śród ulicy błądzę szumnej,
Czyli odwiedzam ludny chram,
Czy słucham młodzi nierozumnej,
— Zawsze tę samą troskę mam.

Powiadam: Oto miną lata,
I ilukolwiek jest tu nas,
Zejdziemy wszyscy z tego świata
I może czyjś już bliski czas.

Czyli oglądam dąb samotny, —
— Jak szybki — myślę — życia bieg!
Przeżyje dąb mój wiek przelotny,
Jak przeżył ojców naszych wiek.

Kiedy się z dzieckiem miłem bawię,
Ze smutkiem myślę: Żegnaj mi!
Tobie swe miejsce pozostawię,
Mnie—więdnąć czas, zakwitniesz—ty!

Dzień każdy, każdą dnia godzinę,
Śledzę idące w wieczny mrok:
Może od chwili, kiedy zginę
Oddziela mię już tylko rok?

I gdzie? i jak? śmierć mię pokona?
Bój że to będzie? podróż? toń?
Czy też mój proch w głąb swego łona
Przyjmie sąsiednia kwietna błoń?

I choć dla nieczułego ciała
Wszystko to jedno kędy tleć,
Jednak drży w sercu chęć nieśmiała:
Ojczyste pola wkoło mieć!

I niech tam przyjdzie radość młoda
U wejścia grobu wieńce wić,
I beznamiętna niech przyroda
Wieczystem pięknem będzie lśnić.

PTASZEK.

Święcie przestrzegam na wygnaniu
Ojczysty zwyczaj dawnych lat:
Przy jasnem Pana Zmartwychwstaniu
Wypuszczam z klatki ptaszka w świat.

Doznałem ulgi w mem cierpieniu;
Cóż się na Boga skarżyć mam?
Jeśli jednemu choć stworzeniu
Wolność darować mogłem sam.

Przełożył STANISŁAW CYWIŃSKI.

WSPÓŁCZESNA POEZJA BIAŁORUSKA.

Nowoczesna literatura białoruska, rozwijająca się od początku XIX w., osiągnęła dość wysoki poziom artystyczny jeszcze przed wojną w okresie t. zw. „naszaniwskim“ (od czasopisma „Naša Niva“, wychodzącego w Wilnie w latach 1906 — 1915). Po wojnie zaś, w związku z szerokiem uświadomieniem narodowem mas włościańskich i miasta oraz ze znacznemi osiągnięciami kulturalnemi, wykazuje ona bardzo silny pęd, nienotowany dotychczas w takim stopniu, ku dalszemu rozwojowi i doskonaleniu się.

Współczesna poezja białoruska najintensywniej rozwija się w BSSR. Jakkolwiek liczy ona tam zaledwie piętnaście lat swego istnienia, możemy wyróżnić w jej rozwoju dwa okresy, dość odmienne, które były ściśle uzależnione od warunków politycznych. W okresie pierwszym, sięgającym do roku 1929 włącznie, częściowo też obejmującym rok 1930, poeci i pisarze, zbytnio niekrępowani jeszcze przez czynniki bolszewickie, posiadają dość znaczną swobodę tworzenia i wnoszą do swej produkcji elementy białoruskie, ludowe, nadając całokształtowi literatury swoiste, narodowe zabarwienie. Natomiast zaczynając od roku 1930 aż po dzień dzisiejszy poezja białoruska, wskutek zmiany kursu politycznego w Sowietach, staje się w myśl bolszewickiej zasady narodową jedynie pod względem formy, ściślej — języka, komunistyczną zaś pod względem treści.

Ze skutkami, jakie wydały takie eksperymenty w dziedzinie poezji, zaznajomimy się później. Teraz zaś zwrócimy uwagę na ów pierwszy okres poezji białoruskiej w Sowietach, która dzięki intensywnemu rozwojowi, rozległości i różnorodności zainteresowań oraz dość wysokiemu poziomowi artystycznemu stanowi jedną z najpiękniejszych kart w dziejach literatury białoruskiej.

W poezji tego okresu wyraźnie zaznaczyły się dwa odmienne kierunki: włościański, obejmujący przeważającą większość poetów i pisarzy, oraz proletarjacki, znacznie uboższy, reprezentowany przeważnie przez poetów miejskiego pochodzenia. Na czoło kierunku pierwszego wysunęli się czterej wysoce utalentowani poeci — *Jazep Pušča, Uładzimier Duboŭka, Maksim Łužanin* i *Aleś Dudar;* do tej grupy należy też zaliczyć szereg pomniejszych poetów, z pośród których na większą zasługują uwagę *Arkadź Markoŭka, Anatol Volny, Babareka, Jazep Padabied, Valery Marakaŭ* i *Juli Taŭbin.*

Do współczesności sowieckiej ustosunkowali się oni z większem lub mniejszem zastrzeżeniem. I właśnie ten niepewny stosunek do rze-

czywistości, obawa przed skutkami radykalnych zmian, przeprowadzanych w każdej dziedzinie życia społecznego, silnie zaciążyły na ich twórczości. Jakkolwiek w swych programowych wierszach starają się oni zerwać stanowczo z płaczliwym, elegijnym tonem poezji przedwojennej, z jej sentymentalnem rostkliwianiem się nad niedolą narodu, to jednak nie potrafili pozytywnie ustosunkować się do t. zw. budownictwa socjalistycznego, będącego w założeniu swem sprzecznem z ich ideologją. Jedni, jak np. Pušča, starają się izolować od rzeczywistości, ujmując życie wsi białoruskiej jedynie z punktu widzenia estetycznego, inni zaś, jak Duboŭka i Łužanin, pogrążają się w głębokim pesymizmie. W stosunku do polityki narodowościowej, sprzecznej z dążeniami narodu białoruskiego, zdobywają się czasami na słowa protestu. Np. Łužanin w dniu dziesięciolecia BSSR. wydrukował wiersz, w którym pisał:

My nia chočym radaści vitać,
Što čužymi dadziena rukami!

Twórczość wspomnianych poetów jest szczególnie ciekawa pod względem artystycznym. Świadczy ona dobitnie, że współczesna poezja białoruska zerwała stanowczo z jednostajnością i jednolitością formy poetyckiej i języka. Śmiałe i oryginalne porównania, metafory i epitety, jaskrawo uwypuklające myśl autora oraz konkretyzujące obraz, jak również mnóstwo neologizmów, nadają utworom wspomnianych poetów nowe, współczesne piętno. Współczesna metafora odgrywa bardzo dużą rolę w utworach Puščy i Duboŭki. Ci poeci konstruują ją na materjale włościańsko - folklorystycznym, np.: „Biełanohi razčuchrany miesiac lavonić (t. zn. tańczy) u liści klanovym“, „Niachaj pamyje viečar brovy u vadaspadzie jaho lir častušak“ w utvorach Puščy oraz „Noč pociahnuła bialić pałotny, raźvivajučy nieprazrystyja stołki“ (t. zn. pasma), „viatry nad dalinaj vyšyvali rasoju ściažynki“ — u Duboŭki. Niektórzy poeci, jak np. Łužanin i Zarycki, próbują stosować na szerszą skalę luźną konstrukcję wiersza, tak charakterystyczną dla poezji współczesnej.

Z drugiej strony współczesną poezję białoruską znamionuje pęd do wielkiej prostoty, ludowego realizmu i bezpośredniego zbliżenia się do ludowej twórczości. Będzie to dla nas jasne, gdy sobie uświadomimy, że nowoczesna kultura białoruska rozwinęła się na podłożu włościańskiem. Przemożny zaś wpływ ludowości na literaturę piękną posiada już swoją tradycję. Poezja ludowa odegrała wybitną rolę w zaraniu odrodzenia literatury białoruskiej na początku XIX w., zasilając

ją zarówno świeżym dopływem treści, jak i melodyjnością wierszowanej formy. Również w okresie przedwojennym wchłonęła ona w siebie bardzo dużo ludowych pierwiastków, a największy z jej przedstawicieli, Janka Kupała, wyrobił na wzorach ludowej pieśni swój odrębny i niesłychanie charakterystyczny styl. W dzisiejszej zaś poezji kierunek ludowy jest tak silny, iż niema prawie żadnego poety, nawet najbardziej nowoczesnego, któryby pozostał obojętny wobec prostoty i rzewności białoruskiej pieśni ludowej. Największy wpływ wywarła ona na twórczość *Paŭluka Trusa,* subtelnego liryka, zmarłego młodo w 1929 r.

Ten poeta stoi na pograniczu kierunku włościańskiego i proletarjackiego. Do tego ostatniego zbliża się on dzięki pozytywnemu ustosunkowaniu się do aktualnych problematów sowieckiej współczesności. Natomiast styl i forma jego twórczości, wzorowana na pieśni ludowej, zbliża go do poetów włościańskich. Jego poezje posiadają nawskroś ludową, śpiewną rytmikę, ludowy styl, oraz wyrażenia, w jakich się lubują pieśni i baśnie ludowe. Te właściwości twórczości ludowej potrafił on tak umiejętnie wyzyskać w swoich poezjach, iż czasami zupełnie nie znać pośrednictwa poety.

Skorośmy napomknęli o kierunku proletarjackim w pierwszym okresie poezji białoruskiej w Sowietach, należy mu poświęcić trochę więcej uwagi. Poezja proletarjacka w odróżnieniu od twórczości poetów, o których już była mowa, nie uznaje zasady piękna, jeśli ono wyraźnie nie służy celom utylitarnym, jak również ogranicza indywidualność i osobowość poety, stawiając ponad jednostką zorganizowany kolektyw. Opiewając konkretną rzeczywistość, nie uznaje ona tematów abstrakcyjnych, niezwiązanych z przejawami życia społecznego. Poezja ta, zapoczątkowana jeszcze przed wojną przez *Ciszkę Hartnego,* rozwija się dość bujnie i ma dwóch wybitnych przedstawicieli w osobach *Michasia Čarota* i *Andreja Aleksandroviča.*

Twórczość tych poetów wnosi nowe pierwiastki do poezji białoruskiej nietylko pod względem ideologicznym, lecz również artystycznym. Poezje Čarota odznaczają się zwartą formą, bojowem tempem rytmiki oraz podniosłym, uroczystym nastrojem, który często przechodzi w patos. Pod tym względem czynią one zadość wymaganiom sowieckiej krytyki. Jednak zarzucano niejednokrotnie temu poecie, że w jego twórczości zbyt głęboko tkwią motywy wiejskie, ujmowane w sposób tradycyjny, t. zn. tak, jak u poetów kierunku włościańskiego. Inaczej rzecz się przedstawia z utworami Aleksandroviča, który, będąc synem robotnika mińskiego, potrafił prawie całkowicie izolować się od wszechwładnie panujących w literaturze białoruskiej motywów

wiejskich i stać się bojowym poetą proletarjackim. W odróżnieniu od innych poetów, jest on piewcą miasta, jego ruchu i dynamiki. Potrafił on aktywnie ustosunkować się do rzeczywistości sowieckiej, opiewając z właściwym sobie patosem aktualne wydarzenia z dziedziny budownictwa socjalistycznego.

Wymagając od poetów opiewania aktualnych problematów życia współczesnego, przedewszystkiem zaś wysunięto w owym pierwszym okresie poezji białoruskiej kwestję stosunku wsi do miasta. Ten problem w polityce wewnętrznej Sowietów był sprecyzowany w ten sposób, że pomiędzy wsią i miastem powinien istnieć ścisły związek, oparty zarówno na wspólnem podłożu ideologicznem, jak i ekonomicznej wymianie produktów i środków wytwórczości. Poeci kierunku włościańskiego ustosunkowali się do tej koncepcji negatywnie, uważając, iż dąży ona do zapewnienia przewagi miasta, t. zn. mas robotniczych, niejednolitych pod względem narodowościowym i słabo uświadomionych narodowo, nad wsią. Natomiast znalazło ono wyraz w poezji proletarjackiej; najwyraźniej je sprecyzował M. Čarot w swym poemacie p. t. *Biełaruś łapciužnaja:*

My ciapier ab krainie šeraj
Śpieŭ žyćcia kałasić budziem vieršam...
Horad dymny i viosku ŭ šerani
Złučyć u adno — vyšli pieršymi.
Śpievam — moram
        pole zaliłosia...
Hrukat fabrykaŭ, rohat ich trub...
Sny prastoru
        šepčacca kałośsiem, —
Vioska z horadam jeduć brać šlub!

W ten sposób przedstawia się ogólny obraz poezji białoruskiej w Sowietach do roku mniej więcej 1929, kiedy istniały jeszcze stosunkowo duże możliwości rozwoju kultury i literatury białoruskiej. Jak widzimy, poezja białoruska zdołała w tym okresie nabrać dość znacznego rozpędu i wznieść się na nieprzeciętny poziom artystyczny. Jakkolwiek bowiem w tym okresie nie nastąpiła jeszcze ścisła dyferencja wśród poetów i pisarzy ani pod względem ideologicznym ani też artystycznym, jednak mogliśmy już wyodrębnić dwa odmienne kierunki: jeden, ogarniający przeważającą większość poetów i pisarzy, opierał się na elementach włościańskich, narodowych, drugi natomiast, mniej liczny, ujawniał tendencje proletarjackie, starając się poruszać zagadnienia aktualne, związane z ustrojem socjalistycznym. Do większych starć na

tle ideologicznem narazie nie dochodziło; wszyscy poeci i pisarze stali zdecydowanie na gruncie białoruskim. Niepowodzenie przychodzi odzewnątrz, które pozostawia nieobliczalne następstwa zarówno dla literatury jak i całego życia białoruskiego w BSSR.

* * *

Władze bolszewickie, widząc wzmagający się z każdym rokiem ruch narodowy Białorusinów, objawiający się w każdej dziedzinie życia, postanawiają zadać mu ostateczny cios. Rozpoczyna się więc bezwzględna walka z inteligencją białoruską, znana pod nazwą walki z „nacdemowszczyzną", t. zn. z żywiołem narodowo-demokratycznym. Ponadto w połowie r. 1933 uchwałą Rady Komisarzy Ludowych BSSR. została przeprowadzona t. zw. reforma pisowni białoruskiej, faktycznie zaś reforma gramatyki, na podstawie której szereg form białoruskich, fonetycznych i morfologicznych, zastąpiono formami rosyjskiemi, obcemi białoruszczyźnie. Przeprowadzono wśród poetów i pisarzy „generalną czystkę" tak, iż w r. 1931 krytyk literacki Wł. Siadura pisał: „Białoruska burżuazyjno - kułacka, narodowo - demokratyczna poezja ideowo została doszczętnie zburzona. Jej czołowi ideologowie i reprezentanci—Duboŭka, Pušča, Babareka i inni zeszli z pola działania". Obowiązek wskazywania poetom i pisarzom „prawidłowych dróg" wzięli na siebie liczni krytycy proletarjaccy, którzy, trzeba to stwierdzić z wielką objektywnością, nie potrafili znaleźć się na wysokości swego zadania. Np. Pušča, przebywając w Leningradzie, napisał wiersz, w którym tęsknił za swoją ojczyzną. Czytamy tam:

Samotna žyć mnie tut, —
Ništo wačej nia dzivić:
Chaču schilicca charastvu
Tam — na svajej radzimie.
Rypić tak pad nahami śnieh,
Dy tolki śnieh nie naski...

Z powodu tego wiersza tak się odezwał w 1934 r. krytyk literacki A. Kučar: „Patrzcie, piękno Leningradu nie zachwyca Puščy! On chce się skłonić przed „pięknem" tylko swojej ojczyzny! I nacjonalistyczna, chamska ograniczoność Puščy dochodzi do tego, że on nawet nie jest zadowolony z leningradzkiego śniegu dlatego, że ten śnieg nie nasz". Takie odezwanie się wspomnianego krytyka może w nas wzbudzić jedynie humor, niemniej przeto jest ono bardzo znamienne dla tamtejszych stosunków.

W takich warunkach znalazła się literatura białoruska w Sowietach po roku 1929/30. Zasada bolszewicka, iż musi ona być narodowa jedynie

pod względem języka, komunistyczna zaś pod względem treści, została teraz urzeczywistniona. Z pośród poetów, o których była mowa dotychczas, piszą obecnie jedynie Aleksandrovič i Čarot, inni zaś, jak wyraził się cytowany krytyk Siadura, „zeszli z pola działania“. Natomiast pojawia się cały szereg nowych poetów, mało znanych dotychczas, jak również takich, którzy w pierwszym okresie należeli jeszcze do początkujących. Z pośród nich uchodzą za najbardziej utalentowanych *Piatruś Broŭka* i *Piatro Hlebka*, poeci, którzy potrafili przystosować się do zmienionych warunków i stali się wyrazicielami nowych myśli. Prócz nich do bardziej uzdolnionych należą też tacy poeci, jak *Arkadź Kulašoŭ, Valery Marakaŭ, Aleś Zarycki, Siarhiej Darožny, Juli Taŭbin, Todar Klaštorny, Uładzimier Chadyka, Źmitrok Astapienka, Mikoła Chviedarovič* i szereg pomniejszych.

Jeśli zaś chodzi o ogólne oblicze poezji białoruskiej tego okresu, należy przyznać bez zastrzeżeń, że widać w niej pewien postęp i bardzo intensywny rozwój pod względem ilościowym. Natomiast wspomniane postulaty, wytknięte poezji białoruskiej zarówno przez czynniki oficjalne, jak krytykę, zaciążyły na niej w sposób fatalny. Nie będziemy wspominali już o tem, że białoruski narodowy charakter współczesnej produkcji literackiej ogranicza się przeważnie do języka, znacznie zrusyfikowanego dzięki wspomnianej reformie pisowni. Konieczność opiewania tylko tych zjawisk, które dotyczą życia sowieckiego, niewspółmiernie uszczupliła zakres zainteresowań twórczych autora i ograniczyła jego indywidualność. Dzisiejsza twórczość poprostu nuży czytelnika swoją jednostajnością, gdyż jej tematyka, poza nielicznemi wyjątkami, sprowadza się do typowych i okrzyczanych zjawisk w życiu współczesności sowieckiej. Natomiast nie znajdziemy w niej ani zagadnień ogólnoludzkich i głębszych problematów psychologicznych, ani też subjektywnych wynurzeń autora, które przecież stanowią wdzięczne pole do eksperymentów twórczych.

Z tego nienaturalnego zwężenia przedmiotu zainteresowań poety wypływa inna cecha dzisiejszej poezji białoruskiej w Sowietach, która niemniej od pierwszej odbija się ujemnie na całej literaturze. Oto większość poetów wchodzi w kolizję z własnemi najistotniejszemi zamiłowaniami i z konieczności musi opiewać środowisko, które dla nich jest obce. Wskutek tego stosunek do tematu jest sztuczny i nieszczery, wrażenia poety tępieją i banalizują się. Krytyka literacka walczy z tem, jak może, lecz rezultaty są narazie nikłe. Np. wspomniany już krytyk Kučar w ten sposób ocenia większość utworów dzisiejszych poetów białoruskich: „Ich twórczość — powiada — odznacza się

tem, że jest w niej dużo maszyn, lub detali, części maszyn, natomiast brak ludzi, nie widzimy w niej złożonych i zróżniczkowanych uczuć twórców bezklasowego socjalistycznego społeczeństwa".

Należy jeszcze nadmienić, że o ile poezja białoruska w tym okresie znacznie podupadła w porównaniu z okresem poprzednim, o tyle proza artystyczna, mająca zawsze szerszy zakres możliwości, rozwija się bardzo bujnie. Tacy powieściopisarze, jak *Michaś Zarecki, Michaś Łyńkoŭ, Kuźma Čorny, Symon Baranavych, Płaton Hałavač* i inni z pośród młodej generacji, jak również szereg autorów starszych, jak *Jakób Kołas, Żmitrok Biadula i Ciška Hartny* dali po kilka wysokowartościowych powieści, które można postawić obok lepszych utworów literatury zachodnioeuropejskiej.

Z powyższych rozważań wynika, że jakkolwiek poezja białoruska w Sowietach napotyka dzisiaj liczne i nieprzezwyciężone przeszkody, rozwija się ona nadal bujnie, świadcząc o nieprzeciętnych zdolnościach twórczych narodu białoruskiego.

* * *

Życie literackie wśród Białorusinów w Polsce było dotychczas dość ubogie i nie mogło pod żadnym względem równać się z wielkim rozpędem ruchu literackiego w BSSR. Pozostaje to w ścisłym związku z niesprzyjającemi warunkami, w jakich rozwija się tutaj kultura białoruska. Między innemi nie było tutaj ciągłości życia literackiego, gdyż starsi poeci i pisarze po wojnie znaleźli się w Mińsku. Należało tedy ruch literacki rozpoczynać od podstaw; młodzi początkujący poeci byli pozostawieni wyłącznie własnej inicjatywie. Winę częściowo ponosi również społeczeństwo białoruskie, które, wytężając wszystkie swe siły w kierunku pracy społeczno-politycznej, nie doceniało wartości literatury i nie roztaczało należytej opieki nad młodymi poetami.

Z tych też powodów kilkakrotne próby systematycznego wydawania czasopism literackich, któreby skupiały wszystkich poetów i pisarzy, przez długi czas spełzały na niczem. I tak w roku 1927 zaczął wychodzić w Wilnie miesięcznik literacki „Rodnyja Honi", który zgasł na szóstym numerze. Tenże sam los spotkał wychodzący w 1932 roku miesięcznik literacki „Nioman", którego ukazało się tylko pięć numerów. Coprawda wychodzi systematycznie w Wilnie od 1929 roku miesięcznik kulturalno-literacki „Šlach Moładzi", lecz jest on przeznaczony poważnie dla poetów i literatów początkujących. Dopiero ostatniemi czasy można było zauważyć na białoruskim odcinku literackim w Wilnie znaczne ożywienie, wywołane przez młodych poetów i literatów. I tak z inicjatywy młodzieży przed rokiem zaczęło wychodzić w Wilnie

literacko-naukowe czasopismo kwartalne „Kałośsie“. Gdy jednak to czasopismo nie potrafiło ogarnąć całego ruchu literackiego, zaczął w roku bieżącym wychodzić nowy kwartalnik — „Maładaja Biełaruś“, który już w pierwszym numerze skupił wszystkich wybitniejszych poetów i pisarzy. Dzisiejszy stan rzeczy i wypływające stąd perspektywy na przyszłość pozwalają przypuszczać, że rozpoczął się już okres systematycznego rozwoju poezji białoruskiej w Polsce.

Za najbardziej popularnego poetę uchodzi powszechnie *Michaś Mašara*, natchniony piewca odrodzenia białoruskiego. Jakkolwiek znajduje się w skrajnej nędzy i odcięty jest od życia kulturalno-umysłowego (stale przebywa na wsi w Dziśnieńskiem), w swych poezjach jest wielkim optymistą. Ten jego optymizm w znacznej mierze jest ucieczką od smutnej rzeczywistości. Mašara jest poetą o wielkiej wrażliwości, zdolny do najgłębszych wynurzeń lirycznych, odznaczających się silnem napięciem uczuciowem. Jakkolwiek nie potrafił opanować współczesnej formy wiersza, to jednak jego utwory pod względem artystycznym są bez zarzutu. Dzięki podniosłemu nastrojowi, bojowej rytmice, subtelnej uczuciowości, występującej przeważnie w wierszach o charakterze osobistym, tudzież muzykalności i śpiewności języka jego poezje posiadają wielką siłę ekspresji.

Jako piewca idej społeczno-narodowych zbliża się do Mašary *Michaś Vasilok*, poeta silnie reagujący na przejawy życia społecznego i narodowego Białorusinów. W ciągu dość długiego czasu nie mógł się wyzwolić od sentymentalno-elegijnego tonu poezji okresu „naszaniwskiego“, jednak ostatniemi czasy przeważa w jego twórczości nuta bojowa. Również pod względem artystycznym czyni on znaczne postępy i próbuje stosować współczesną formę wiersza.

Całkiem odrębny charakter posiada młody poeta *Maksim Tank*. Jest to poeta o wielkim talencie i zdolnościach, a jego utwory, w przeważającej mierze jeszcze niedrukowane, posiadają wysoką wartość artystyczną. Zdecydowanie zerwał on z tradycyjną formą wiersza. Jego utwory odznaczają się wielkiem bogactwem i różnorodnością rytmiki, która zawsze harmonizuje z ich treścią ideową. Na największą uwagę zasługuje styl Tanka, który jest pod każdym względem nowoczesny i posiada już znakomite ukształcenie. Poeta swoje myśli i obrazy oddaje zapomocą licznych metafor, tworzonych, podobnie jak u Puščy, w materjale z życia włościańskiego. Mogą o tem świadczyć choćby następujące cytaty z poematu „Narač“: „vypływuć zory na sini načlech, na mokruju pašu vazioraŭ“, albo „miesiac advostryć stalowy naroh arać nieba čornyja honi“, albo wreszcie „stalnaja zreža

ich (pieśni) mašyna, ŭ stalnyja zvonkija capy padaść ich viesieła dziaŭčyna sny-pieśni zžatyje ŭ snapy“ i t. p. Ze szczególnem zamiłowaniem porusza on w swoich utworach zagadnienie krzywdy socjalnej. Charakterystyczne, iż wbrew wielu innym poetom, reagującym na to zagadnienie zazwyczaj z wielkim temperamentem i patosem, jego uczuciowość jest spokojna, lecz niemniej silna i głęboka.

Grupę poetów, rzadko reagujących na sprawy społeczno-narodowe, a tworzących dla samego piękna, godnie reprezentuje *Natalja Arsieńnieva*. Jej twórczość rozpada się na dwie odrębne grupy: pierwsza grupa — to przeważnie drobne utwory liryczne, w których autorka na tle opisów przyrody daje wyraz swej uczuciowości. Dzięki subtelnemu uczuciu, przedewszystkiem zaś jaskrawym kontrastom obrazów i nastrojów, silnie przemawiają one do czytelnika. Druga grupa obejmuje króciutkie poematy, nawpół liryczne, z cyklu „*Začaravany kut*, osnute w całości na motywach folklorystycznych. Nietylko fabułę utworu zapożycza poetka z twórczości ludowej, lecz również formę wiersza, rytmikę oraz styl. Potrafiła udoskonalić styl twórczości ludowej, nadać mu wysoce artystyczny wyraz przy równoczesnem zachowaniu prostoty, realizmu, a nawet pewnej naiwności, właściwej pieśniom ludowym. Dzięki tym właściwościom wspomniany cykl utworów Arsieńnievaj stanowi w literaturze białoruskiej jedną z najlepszych prób poetyckiego wyzyskania twórczości ludowej.

Do grupy poetów estetyzujących należy też odnieść *Chviedara Illaševiča*, znanego poetę wileńskiego. Podobnie jak i Tank, jest on autorem nawskroś nowoczesnym, a w odróżnieniu od wększości poetów białoruskich, przykutych do wiejskiego kręgu zainteresowań, jest on przedewszystkiem piewcą miasta. W kształtowaniu nowoczesnej formy usiłuje on odtwarzać obrazy zapomocą urywanych, lakonicznych metafor i w tym kierunku czyni znaczne postępy. Główną właściwością artystyczną utworów Illaševiča jest obrazowość, natomiast jego uczuciowość jest zbyt spokojna, zrównoważona i nie odgrywa większej roli.

Z pośród zaś poetów początkujących zasługuje na uwagę *A. Biarozka*. Jego wiersze, które są bez zarzutu pod względem technicznym, odznaczają się głęboką nastrojowością i psychologizmem.

Na podstawie powyższych rozważań zdajemy sobie jasno sprawę, że poezja białoruska osiągnęła już dzisiaj dość wysoki stopień swego rozwoju i dojrzała pod względem artystycznym. Mniemanie zaś, jakie można często słyszeć od ludzi, nie orjentujących się w istocie rzeczy, że poezja białoruska jest jeszcze zbyt uboga i znajduje się na stopie prymitywnej, jest już dzisiaj nieaktualne.

STANISŁAW STANKIEWICZ.

BYŁO TAK, A JEDNAK NIE BYŁO TAK.

Rozmowa literata z historykiem.

Literat. BYŁO TAK to tytuł książki Juljana Wołoszynowskiego, która nie tak stosunkowo dawno ukazała się na rynku księgarskim.

Historyk. Mimo to doczekała się już dosyć pokaźnej ilości krytyk, ocen i sprzeciwów.

Liter. Uważam to za zjawisko dodatnie.

Hist. Oczywiście, gdyż dzięki takim polemikom wyjaśniają się niekiedy zagadnienia b. istotne.

Liter. Tutaj znowu parę wyjaśnień. BYŁO TAK — to dzieło, jak się wyraził jeden z krytyków, na 300 stronach zawierające przebieg lat tysiąca. Jest to artystycznie ujęta historja Polski. Wogóle Wołoszynowski ma skłonność do tematów historycznych. Wydał np. książkę poświęconą 1863 rokowi, a przedtem powieść osnutą na tle życia Juljusza Słowackiego. Wątki, jak widzimy, mocno już przefiltrowane przez świadomość historyczną. Ostatnia książka jest bardzo śmiała w założeniu. Autor usiłuje w niej artystycznie przeżyć i odtworzyć całokształt naszych dziejów. Jest to według mnie trudne z dwu przyczyn.

Hist. Co pan ma na myśli?

Liter. Chodzi mi o to, że artysta nie może z równą siłą wczuwać się w różne epoki dziejowe. Muszą mu w tem przeszkadzać jednostronne upodobania. Naprzykład Sienkiewicz — szczególnie upodobał sobie wiek 17, a nie miał zmysłu dla renesansu. Nadto wysuwa się druga trudność nawskroś rzeczowa: nie wszystkie historyczne epoki są jednakowo opracowane pod względem naukowym. Nie wszystkie dostarczają szczegółów barwnych i pociągających.

Hist. Dodałbym tu jeszcze trudność tworzenia syntezy artystycznej — całego przebiegu dziejów.

Liter. Oczywiście. Słuszna uwaga. Możemy więc naprawdę powinszować Wołoszynowskiemu odwagi. Wprawdzie i Mickiewicz i Sienkiewicz zamierzali pisać historję Polski, ale w zasadzie nie wyszli poza granice zamiarów, gdyż naprzykład po Mickiewiczu zostały tylko fragmenty. Jeden z poetów, Lucjan Rydel, zamiar swój spełnił, ale jego historja stoi mniej więcej na poziomie WIECZORÓW POD LIPĄ. Zresztą — nie były to ujęcia czysto artystyczne.

I teraz przechodzę do ważnej według mnie sprawy. Artyście trudno jest zdobyć się na ścisłą przedmiotowość. Musi on mieć coś swoistego w swem spojrzeniu na dzieje, musi przeprowadzać jakąś ideę zasadniczą, która jest osią krystalizacji estetycznej dziejów. No, a to rozmija się z wymaganiami nauki.

Hist. Bezwarunkowo, gdyż względy estetyczne mogą w nauce odgrywać rolę raczej uboczną. Ale dla Wołoszynowskiego są one zasadnicze. I właśnie w jego książce dostrzega się taką swego rodzaju artystyczną historjozofję.

Liter. Bardzo to jest ciekawe. I sądzę, że teraz zbliżamy się do istoty zagadnienia. Zawiera się ona bowiem w postawie wewnętrznej autora wobec dziejów. Skąd przecież wypływa cały styl *odczuwania i odtwarzania poszczególnych momentow dziejowych.*

Hist. Właśnie w tym stylu Wołoszynowskiego uderza to, że historja ujmowana jest jako wytwór potężnych jednostek. One są jej motorem, jej siłą popędową. I stąd wynika usunięcie poza nawias czynników gospodarczych i społecznych. Dla Wołoszynowskiego twórcza jednostka jest jakby artystą, ukształcającym surowy materjał.

Liter. Może pan da jakiś przykład, zaczerpnięty bezpośrednio z książki, o której mówimy.

Hist. Tych przykładów znalazłoby się sporo. Takimi artystami, możnaby nawet powiedzieć, samowładnymi, są obaj pierwsi władcy Polski: Mieszko i Bolesław Chrobry. Znamienne są naprzykład rozważania Bolesława u schyłku życia. Ot, choćby taki wyjątek (str. 25). „Kto ich poprowadzi do tego, co ja im ukazałem? Jestem sam, sam jeden na cały kraj — jak źle, jak ciężko, jak to wszystko na mnie zapatrzone, mnie zgadujące z oka, z poruszenia warg, jak to wszystko ślepe i jeszcze szczeniowate, — bydło, które trzeba pędzić batem na pastwisko".

Liter. Rzeczywiście, posiada to niedwuznaczną wymowę.

Hist. Ten sam stosunek jednostki do tłumu widzimy u Batorego. Wołoszynowski każe mu zmagać się z bezwładem masy szlacheckiej, każe mu być rzeźbiarzem Rzeczypospolitej o mocnym i zwartym ustroju (str. 125). „Z kim się dzielić władzą?—mówił król — władzę się bierze, a kto ją weźmie, ten nie może już puszczać. Nie wolno tylko przegrywać... Chcę, żeby byli silni, żeby ten naród i kraj, to państwo przezemnie robione z miękkiej gliny jeszcze, było silne — swoboda dopiero w sile".

Liter. Gdy Pan to czytał, przypomniało mi się ujęcie postaci Batorego w DUMIE O HETMANIE. Żeromski również pasował go na pogromcę anarchicznych instynktów szlachty polskiej. I w tem widział najwyższy tragizm tego króla, że dzieła swego nie doprowadził do końca.

Hist. Wołoszynowski tragizm ten widzi nie tylko w Batorym. Dostrzega go u wszystkich królów polskich mocniejszej ręki. Nawet przenosi go na patryarchalnie piastowską osobowość Sobieskiego, który umierając powiada: „Niema człowieka, niema ani jednego".

Liter. Tutaj narzuca mi się jeszcze jedno spostrzeżenie. Gdy czyta się książkę Wołoszynowskiego ciągle nasuwają się obrazy pewnych okrzepłych stylowo epok: gotyk, renesans, barok, rokoko, klasycyzm. Dużo stronic poświęca autor poetyckiej charakterystyce kultury artystycznej i umysłowej, stara się wydobyć z danych czasów ich charakter, powiedzmy, estetyczny, ich piękno stylowe. Więc król Zygmunt August przesuwa się tam na tle przepychu renesansowego, Stanisław August Poniatowski owiany jest urokiem rokoka. „Panowie klaszczą w dłonie, panie tańczą. Są wszyscy jak dzieci, poprzebierani — jak dziecinne pompadurowskie lalki. Bawią się w grę towarzyską, zwaną miłość... Bolesne są czasem żarty puste — z kobietami, zapominającemi na bezdrożach śmiechu o swej bezbronności, zapłakane bywają ich liljowe, subtelnie podcieniowane powieki".

Hist. Z tego, cośmy powiedzieli, można wywnioskować, że jeżeli autor trzyma się jakichś zasad przy wprowadzeniu pewnych okresów dziejowych, to są one raczej zaczerpnięte z historji sztuki niż z ustaleń polityczno-społecznych.

Liter. Stanowisko godne artysty.

Hist. Z tym artystą będę jeszcze na pieńku.

Liter. Sądzę, że jako historyk, raczej z erudytą niż z artystą.

Hist. Możemy to i tak określić...

Liter. A jednak, obawiałbym się zbytnich rozgraniczeń. I muszę się cofnąć z ich linji. Książka Wołoszynowskiego nie jest powieścią. Jest kompozycją utkaną z historji. Probierz ścisłości, dzięki temu nabiera dużego znaczenia. Chociaż zdaje mi się, że i w powieści historycznej, tworzącej świat bardziej zamknięty i autonomiczny, nieskazitelność estetyczna mętnieje wskutek zbytniej domieszki błędów, przeoczeń, niedokładności i nieudatnych hiperboli. Rzecz prosta, o ile czytelnik je wyłowi.

Hist. Co do mnie u Wołoszynowskiego wyłowiłem ich sporo.

Liter. Jestem przygotowany na to od początku naszej rozmowy.

Hist. Tak, są omyłki. I nawet liczne. Są rzecz prosta, grubsze i drobniejsze. Nie zawsze nieprzyjemne. Wołoszynowski doznał już z tego powodu pewnych ukłuć od prasy.

Liter. Niechże pan wymieni parę tych grubszych.

Hist. Ot, niedaleko sięgając: zatarg Bolesława Śmiałego z biskupem Szczepanowskim. Wołoszynowski twierdzi tak: Szczepanowski uprawiał politykę gregorjańską. To znaczy żądał przewagi władzy kościelnej nad świecką. I stąd tragicznie zakończona walka pomiędzy nim a królem. Tymczasem było inaczej. Właśnie król sprowadzał legatów papieskich, aby dokonać przebudowy Kościoła w duchu reform gregorjańskich, więc zatarg pomiędzy nim a biskupem nie mógł opierać się na tej podstawie.

Liter. Słucham, cóż dalej?

Hist. Oto charakterystyka urody Warneńczyka (str. 81). Dalej jest mowa o jego kasztanowatych włosach i jego niewymownym uroku oblicza.

Liter. No i cóż, bardzo miły obrazek.

Hist. Szkoda, że nieprawdziwy. Świadectwa współczesnych (np. Długosza, Sylwjusza Piccolomini), głoszą, że Warneńczyk był zgoła brzydki. I tutaj legenda, która przypisała bohaterskiemu królowi mnóstwo prawdopodobnych i nieprawdopodobnych zalet, nie puściła jednak wodzy fantazji tak dalece, aby czynić z Warneńczyka arcydzieło urody.

Liter. Różnemi drogami chodzi fantazja pisarzy.

Hist. Gorzej, jeżeli naprzykład Kazimierzowi Wielkiemu przypisuje wyobrażenia fizjologiczne, (o obiegu krwi) do których ludzie doszli niemal w trzy wieki później. Tymczasem pierwsza, zresztą wysoce nieudolna tablica, przedstawiająca obieg krwi, powstała gdzieś w połowie wieku XVII.

Liter. Słowem cała litanja.

Hist. Niestety, tak. Więc nie mogli halabardnicy znajdować się na dworze Popiela, Jadwiga nie brała udziału w chrzcie Litwy w r. 1385 albo znowu takie zdanie, zgoła fałszywe: „Podnosiły się na Litwie — krzyże katolickie. — Było już greckich krzyżów— nieco—w państwie litewsko—ruskiem, w ruskiej części—Władysława króla Jagiełły“ Zbigniew Oleśnicki nie uratował króla pod Grunwaldem; husarja i jako pojęcie i jako fakt nie istniała w wieku XV; Piotr W. nie popierał kandydatury Augusta II do tronu polskiego w r. 1696; Wielka wojna północna nie zaczęła się

roku 1699; pokój w Altransztadzie nie był zawierany między Polską a Szwecją, Mazepa zaś nie był nigdy hetmanem polskiej Ukrainy; Niemcy nie popierały Augusta III na tron Polski, Prusy tak. No chyba wystarczy.

Liter. Zasypał mnie Pan poprostu... Istny róg obfitości. Ale postawmy sobie na zakończenie pytanie według mnie zasadnicze. O ile te błędy rzeczowe mogą wpłynąć na estetyczną wartość dzieła?

Hist. Według mnie mogą. Gdy czytałem opis panowania Śmiałego, artyzm autora nie przekonywał mnie.

Liter. Podobnych wrażeń doznnłem, czytając OGNIEM I MIECZEM po siarczystej krytyce Górki. Wspaniały Jarema, jakoś wyblakł. Nie zdobyłem się na to, aby dla klasycznych zalet pióra Sienkiewicza, darować mu obżarstwo, pijaństwo, okrucieństwo, głupotę polityczną oraz inne nieponętne grzechy, które tak bezlitośnie wywlókł Olgierd Górka. Krótko mówiąc rozprzęgło się moje wrażenienie estetyczne. Została uszkodzona jego jednolitość.

Hist. Mamy zatem jednakowe doświadczenia.

Liter. Właśnie. I sądzę, że warto je wysondować.

Hist. Chyba trzeba tu wrócić do pytania, które pan już wysunął: o ile skazy rzeczowe mogą być również skazami estetycznemi?

Liter. Utwór literacki, mimo całą swą złożoność, jest zawsze uproszczeniem wobec otaczającej nas rzeczywistości. Artysta z nadmiaru musi coś wybrać i to „coś“ uporządkować, ująć w karby doznania estetycznego, nadać mu kształt pożądany. Nie możemy znać przecież dokładnie przyczyn postępowania różnych ludzi, z którymi nas życie styka. Znamy tylko wycinki ich losów, luźne fragmenty, często ze sobą niepowiązane. Ciągle tu wyłaniają się znaki pytania. A weźmy do ręki powieść czy dramat. Autor buduje zwartą całość, tłumaczy, wiąże, odsłania przesłanki zdarzeń, rozwija sprawniej i prędzej to, co w rzeczywistości wlecze się długo, zamulone setką podrzędnych okoliczności. Zaspokaja umysł, który chce wszystko poznać, wyjaśnić i powiązać. W tem, co się nazywa doznaniem estetycznem występuje jako ważny składnik: wrażenie zmysłowe, zadowolenie z jasności, harmonji i celowej konstrukcji. I jeżeli raptem wkrada się zgrzyt jeden, drugi, trzeci błąd rzeczowy. Tak, będzie to już i skaza estetyczna, skaza w odczuwaniu estetycznem.

Stanowisko literata przedstawił
ZYGMUNT FALKOWSKI
Stanowisko historyka
LUCJAN KRAWIEC.

K S I Ą Ż K I.

Juljan Wołoszynowski: *Było tak. Książnica Atlas. Lwów—Warszawa.*

Owoc wieloletniej pracy Wołoszynowskiego, poetycka transkrypcja dziejów Polski, doznał wkrótce po ukazaniu się dziwnego przyjęcia. W ankiecie „Wiadomości literackich" książka ta znalazła się w rzędzie (niewielu) najwybitniejszych z 1935 roku, wkrótce potem krytyk K. Zawodziński nazwał ją w „Pionie" „stekiem bredni" (!), wytykając autorowi błędy historyczne i błędy językowo — stylistyczne. Wołoszynowski replikował w „Gazecie Polskiej", na co znowu odpowiedział p. Zawodziński, obstając przy swojem. Mimo to jednak nie zanosi się, aby Wołoszynowski wywołał swem dziełem tyle hałasu co Zagadłowicz „Zmorami", chociaż i on w paru miejscach pozwala sobie na szczyptę pikanterji. (I tego mu nie darował p. Zawodziński). Mniejsza zresztą o te odgłosy. Zapewne uczony znalazłby w tem dziele sporo błędów z punktu widzenia prawdy historycznej. I możnaby się długo spierać o to, gdzie licentia poetica ma swoje granice, gdy poeta za kanwę twórczości obiera sobie historję. Pozostawmy to przyszłemu Górce. Mojem zdaniem książka Wołoszynowskiego posiada sporo zalet: po pierwsze—jest ładnie napisana. Po drugie: gdy się zważy jak nikła — prawie żadna jest wśród t. zw, szerszej publiczności czytającej znajomość dziejów ojczystych, to należy być wdzięcznym poecie, że podjął trud uczynienia z tych dziejów przystępnej lektury, choć cele dydaktyczne były mu obce. W szczegółach mogą być mniejsze lub większe odchylenia od dokumentów, od legendy nawet, kościec jest wyczuty doskonale, proporcje wydarzeń zachowane, punkty węzłowe podkreślone dostatecznie mocno. W sumie: zajmujący i barwny cykl lirycznych szkiców z tysiącletniej przeszłości, widzianej oczyma czującego, skupionego poety. Na innem miejscu drukujemy szkic, omawiający tę książkę ze stanowiska nauki historji i ze stanowiska literackiego.

Stanisław Vincenz: *Na wysokiej połoninie. Obrazy, dumy i gawędy z wierchowiny huculskiej. Tow. Wyd. „Rój".*

Wielki przeszło 700—stronicowy tom, to dopiero część pierwsza, które ma wedle słów autora „zrekonstruować, skoncentrować i ułożyć w cykle starą epikę huculską. Usiłował też sam dalej tworzyć w jej duchu... Wspominając, opowiadając. a potem pisząc, autor wpadał w nastrój, dający mu iluzję, że oddala się od bezpłodnej i chudej monotonji, jaką tchnie nowoczesny niwelatorski uniwersalizm kulturalny, na przeciwległy biegun: do raju soczystej i pełnej barw postaciowości, od ustalonych szyn i szlaków — ku swobodzie. Zdaje się że czasem potrzebny jest taki nawrót, który zwyczajnie nazywa się „nawrotem do przyrody"... ucieczka ze statku, któremu na imię Babilon, do zakątka, któremu na imię ojczyzna człowiecza".

Regjonaliści wszystkich krajów! Uczcijcie anteuszowy trud Stanisława Vincenza.

Juljusz Stefan Petry: *Lwie serca (Warwas) widowisko heroi-komedjowe w 4-ch częścich. Lwów 1936. Tegoż autora: Mocarze. Opowieść dramatyczna w 5-ciu aktach. Lwów 1936.* Obadwa utwory zrodzone z tego samego pnia, co książki omówione wyżej: z miłości ku ojczystej, żywej wciąż w duchu, przeszłości, tradycji, kulturze. W „Lwich sercach" z prostej piosienki ludowej „Pode Lwowem łączka zielona" rozwija się poetycki scenarjusz widowiska, w którem postacie historyczne z wieku XVII, Chmielnicki, Arciszewski i t. d., przeplatające się z figurami fantastycznemi, jak Warwas, nastrojane są na jeden wspólny ton: tęsknoty do wielkości. W „Mocarzach" wątek dramatyczny bierze źródło z podania o Machnickim, królu ruin Odrzykońskich i wplata się w kanwę historji lat 1846—48. W „Lwich sercach" dominuje motyw walki kozaczyzny z Polską, w „Mocarzach" jest walka budzącego się chłopstwa ze szlachtą. Autor nie oczernia żadnej z tych wrogich sobie sił, z każdej wyprowadzi jakąś szlachetną emulację. W „Lwich sercach" upostaciuje się ona w osobie kozaka Wyhowskiego, w „Mocarzach" da postać chłopa pełnowartościowego, Janotę. „Lwie serca" zwycięsko wytrzymały próbę rampy w Teatrze Lwowskim w roku 1928. „Mocarze" czekają jeszcze na realizację sceniczną. Mocno zarysowane profile osób tego dramatu, zwięzłość wysłowienia, plastyka obrazów, zwłaszcza aktu I i III każą się spodziewać, że „Mocarze" zainteresują dyrekcje naszych teatrów, szczególnie w obecnym okresie posuchy repertuarowej. *ski.*

Na marginesie „Krzyżowców" Kossak-Szczuckiej.

Tak zwane powieści historyczne nie są dzisiaj modne. Dzisiaj się patrzy w przyszłość, względnie, zapomocą reportaży i faktomontaży, fotografuje się teraźniejszość. Człowiek współczesny od przeszłości odwraca się z niechętnem lekceważeniem, a słowo: „tradycyjny" uważa nieomal za obelgę.

Dlatego trzeba pewnej dozy odwagi, by zatkać uszy na cały gwar teraźniejszości, a w czasach dawno minionych szukać wieczyście niezmiennych, zawsze tych samych, bliskich i znajomych przejawów ludzkiego ducha.

Odwagę taką ma Zofja Kossak-Szczucka. Dała się zaczarować przeszłości. Każda jej nowa powieść coraz dalej odsuwa się wstecz, coraz głębiej zapada się w grube pokłady minionych wieków. „Krzyżowcy" sięgają aż pierwszej wyprawy krzyżowej, rzecz dzieje się między rokiem 1093, a rokiem 1098. Cała przepaść czasu, bezmała dziewięćset lat. Zdawałoby się: cóż wspólnego między nami, a ludźmi, którzy wówczas po świecie chodzili? A jednak...

Artystyczny kunszt powieściopisarki sprawił to, co zawsze jest „biorące" w powieści, ale co zazwyczaj zdarza się jedynie w książkach mniej więcej współczesnych. Bohaterowie „Krzyżowców" żyją tak intensywnie, że stają się w miarę czytania dobrymi znajomymi, ludźmi, których los zaczyna bezpośrednio obchodzić, którym życzy się z całego serca powodzenia, lub klęski, z którymi się współczuje. Chciałoby się wpłynąć jakoś na bieg wypadków, sprawić, by nieszczęśliwy rycerz de Hainaux połączył się nareszcie ze swoją żoną, by szlachetny Tankred znalazł wyjście pomiędzy swojemi rycerskiemi skrupułami, a miłością do pozbawionego tych skrupułów stryja, Boemunda; by mężny królewicz Duński, Swenon i jego śliczna żona, Florina Burgundzka, ułożyli sobie jakoś swoje zmarnowane życie; aby przewrotny kanonik Arnuld został należycie ukarany, by Rajmund

z Tuluzy został królem Jerozolimskim, a Godfryd de Bouillon mógł sobie spokojnie odejść do klasztoru, skoro tego pragnął najgoręcej.

Olbrzymi przedział wieków zaciera się jakoś i zapełnia. Wszyscy ci ludzie w gruncie rzeczy czują i myślą podobnie jak my. I gdyby wiedzieli to co my wiemy, nie różniliby się od nas niczem.

Zawsze ostatecznie jakiś nowy świat zmaga się ze światem starym. I wtedy tak było i dziś tak jest.

Wtedy świat przemijający reprezentowało Bizancjum, ostatnia resztka zwalonego w gruzy starożytnego świata. Wykształceni i kulturalni, świetni i bogaci— Bizantyjczycy patrzyli z przerażeniem na barbarzyńskie hordy Franków i Normanów. Gorszyli się ich ciemnotą, brakiem najelementarniejszych potrzeb kulturalnych; drwili z rycerzy, którzy ostatni raz kąpali się przed wyruszeniem na wyprawę, nie umieli czytać i nie znali nawet... ustępów. A jednocześnie z mimowolnym szacunkiem i podziwem szeptali między sobą o tem, że ci dziwni ludzie zawsze dotrzymują raz danego słowa, a męstwo ich i poświęcenie nie zna wprost granic.

Rycerze z Zachodu byli wówczas nową siłą: młodą, twórczą, nieodpartą i groźną. Trzymali konie na mozaikowych posadzkach antjocheńskich pałaców i z religijną zgrozą pędzili precz od siebie mądrych pogańską mądrością medyków greckich po to, by po latach znowu wszystko rozpoczynać na nowo i odtworzyć na swój sposób całe pogardzone piękno, całą zlekceważoną wiedzę.

W zetknięciu ze starą kulturą Wschodu odmienili się sami, ani wiedząc kiedy i jak. Odmienili się tak dalece, że niejeden z nich nie odnalazł już wogóle drogi do swojej dawnej ojczyzny.

Nasuwają się mimowoli jakieś analogje, jeszcze niedokładnie sprecyzowane, a może tylko pozorne?

Tamten „nowy świat" przeniknięty był cały idealizmem, obcym już dzisiaj i trudnym do zrozumienia, a cóż dopiero do przeniknięcia się nim, ale idealizmem, który i dzisiaj, po wiekach, wzbudzać musi najgłębszy szacunek. Ten idealizm nazywano wówczas „Miłością Bożą".

W imię Miłości Bożej zdobywali się ludzie na bohaterstwo i poświęcenie bezinteresowne. Bezinteresowności wielkiego duchowego porywu nie naruszają w niczem późniejsze korzyści, jakie Europa osiągnęła z wypraw krzyżowych. Pierwsi krzyżowcy, którzy wyruszyli z Clairmont, na wezwanie Piotra z Amiens i pod wodzą świętego biskupa Ademara, nie mogli żadną miarą tych przyszłych korzyści przewidzieć, a tem mniej powodować się niemi.

Kossak-Szczucka niezwykle plastycznie przedstawiła nam, ludziom dzisiejszym, tamten daleki świat. Jej powieść daje wrażenie takiego zbliżenia w czasie, jakie zapomocą odpowiedniej soczewki osiąga się w przestrzeni. Przy podobnem zbliżeniu rozwiewa się świetlista mgła, co przesłania zwykle wszelką dal. Na obrazie występują wyraźnie skazy i szczerby. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, obraz nie robi wrażenia sztucznego malowidła. Autorka potrafiła utrzymać należyty dystans pomiędzy postaciami swojej powieści, a dniem dzisiejszym. Nie uwspółcześniła ich, dała im ich własne dusze: świeże, naiwne i proste tak w dobrem, jak i w złem. Nawet perfidnego Boemunda nie czuć anachronizmem.

Niedociągnięcia dają się wyczuć w konstrukcji samej powieści. Bo można było nie dawać żadnej fabuły i rzecz całą potraktować zupełnie po kronikarsku;

stworzyć coś w rodzaju zbiorowej vie romancèe pierwszych krzyżowców i tyle... Wystarczyłoby całkowicie.

Jeżeli jednak raz się już fabułę zaczyna, nie można jej gubić w połowie, nie można rzucać wątków na wiatr, by się potem plątały, jak same chcą.

Na początku pierwszego tomu wyglądało, że tematem fabularnym mają być przygody trzech braci — rycerzy śląskich. Jest jakaś ponura tajemnica ich rodu, która wygląda na to, że powinna być w toku powieści wyjaśniona, a potem ginie bez śladu w perypetjach dalekiej krzyżowej podróży. Jest polski, rycerski żal za zmarnowanym królem, Bolesławem Śmiałym, tęsknota do swojego własnego rycerskiego pana, są jakieś niewyraźne przeżycia i niedokończone przygody. To wszystko wyczerpuje się nagle i ustaje, zaledwie zarysowane blado i nikle.

Rycerz Imbram jedyny z trzech braci powraca do domu i jest tak, jakby nie jeździł do nikąd. Pięć lat krzyżowego życia rozwiewa się nagle jak sen.

To niemożliwe. Przeciwko temu chciałoby się gwałtownie protestować. A potem nagle zapał protestacyjny opada. A może to wcale nie jest ważne ani dla autorki, ani dla czytelnika?

Jeżeli chodziło o wskrzeszenie dawno umarłego świata — cel został osiągnięty. Czytelnik wedle woli może radować się samym tylko widokiem uroczego widma, albo z dziejów jego wyciągnąć dla siebie naukę i przestrogę.

WANDA DOBACZEWSKA.

Kronika muzyczna.

Ruch koncertowy w Wilnie jest mocno kapryśny. Najczęściej w jednym okresie odbywa się szereg wartościowych produkcyj, następnie zaś przypada okres posuchy. Z tym faktem noszącym znamiona jakiejś „vis maior" trzeba się prawdopodobnie pogodzić.

W okresie sprawozdawczym na naczelne miejsce wysuwają się koncerty artystów sowieckich. Ginzburg grał trzy razy w ciągu miesiąca, Ojstrach dwa razy, Maksakowa i Barsowa miały po jednym koncercie. W sumie siedem produkcyj w ciągu stycznia. W dodatku śpiewaczki wykonały program w 90% rosyjski i w języku rosyjskim. Bilans: frajda dla pewnych kół wileńskich melomanów rosyjszczyzny. Występy artystów sowieckich przypomniały dawne czasy rosyjskie, ożywiły rzadko słyszany publicznie język rosyjski, wnosząc powiew rosyjskiej kultury. Dla ekspansji polskiej kultury oczywiście przyniosły dużą szkodę.

Ktoś argumentował, ża Bandrowska - Turska śpiewa po polsku na występach w Rosji- Nikt nie zaprzeczy jednak, że ani w Moskwie ani w Petersburgu język polski nie jest groźny. Natomiast wartoby się dowiedzieć, czy Bandrowska śpiewała po polsku w Kijowie, a zwłaszcza w Mińsku, Odpowiedź na to pytanie miałaby swoją wymowę.

Strona artystyczna produkcyj była niewątpliwie wysoka, ale nie frapująca. Takie wyniki artystyczne u nas nie tylko są możliwe, ale istnieją faktycznie. Szlemińska, Bandrowska w niczem nie ustępują obu Rosjankom, kultura Szymanowskiej stoi bezwątpienia wyżej. A skrzypka na miarę Ojstracha znaleźlibyśmy również. Może jeden Ginzburg przekracza poziom naszych pianistów, ale nie we wszystkiem.

Recital Szpinalskiego odbył się w lutym. Gra Szpinalskiego pogłębiła się znacznie od czasów, gdy przed kilku laty przyjeżdżał do Wilna. Jest to dziś wytrawny pianista, coraz więcej skupiający się na repertuarze, który mu najlepiej dogadza: na utworach muzyki klasycznej i współczesnej. Cechę charakterystyczną muzyki Szpinalskiego jest rytm. Najpełniejszą realizację tej potrzeby znajduje Szpinalski w klasykach. Stąd płynie niefrasobliwa radość jaką sprawia sztuka Szpinalskiego każdemu słuchaczowi. Ma ona niewątpliwie swój początek w rytmie.

Drugiem wydarzeniem był recital Szymanowskiej. Talent tej artystki jest zupełnie wyjątkowy. Oczywiście dla zrozumiania sztuki Szymanowskiej trzeba mieć już sporo kultury muzycznej. Dobór programu, interpretacja noszą znamiona szlachetnego, wysokiego gatunku.

Wieczór publiczny uczniów konserwatorjum im. M. Karłowicza wykazał, że uczelnia pracuje rzetelnie i osiąga nieraz poważne rezultaty. Zainteresowanie popisem było znaczne, salę Polskiego Radja wypełniła publiczność po brzegi. Na wieczorze byli obecni wojewoda L, Bociański i nacz. wydz. Min. WROP Dr.

St. Śledziński, specjalnie zainteresowany pracą instytucji, kierowanej ręką młodego jej dyrektora St. Szpinalskiego.

Wielkie zainteresowanie wzbudziły posiedzenia Komisji Teatralnej. W końcu stycznia prezydent m. Wilna zorganizował nareszcie komisję, której celem jak mówi projekt regulaminu jest „opinjowanie wszelkich imprez, widowisk i przedstawień w Wilnie". Jak dotąd Komisja zajmowała się na kilku zrzędu posiedzeniach sprawami teatrów na Pohulance i w Lutni. Szczególnie „Lutnia" domagała się opieki ze strony czynników miejskich. Wice-prezydent Nagurski oświadczył że Wilno może subwencjonować tylko jeden teatr. Rzecz inna, że trudności „Lutni" w uzyskaniu pomocy ze strony miasta spowodowane są nietylko względami budżetowemi. Wiceprezydent Nagurski wyraźnie uczynił aluzję do „pewnych serwitutów" ciążących na budżecie teatru. Odnosi się wrażenie, że Komisja Teatralna powinna być bliżej poinformowana co do charakteru tych serwitutów. Leży to przedewszystkiem w interesie samej „Lutni", której poparcie Komisji Teatralnej nie może być obojętne. Żałować wypada, że od miesiąca zgórą posiedzenia Komisji już się nie odbywają. Czyżby Komisja była przejściową efemerydą lub kaprysem Zarządu miasta?

W styczniu trzeba jeszcze zanotować jedną ważną rzecz. W Teatrze na Pohulance zespół artystów wileńskich odegrał „Straszny Dwór" Moniuszki w reżyserji Adama Ludwiga. Było to przedstawienie ze wszech miar udatne, a sala teatru wypełniona do ostatnich miejsc przez kilka wieczorów świadczyła dobitnie, że operą interesują się wszystkie warstwy społeczne. Pełnemu poświęcenia i nieżałującemu trudów i kosztów kierownictwu należy się gorące uznanie.

ts.

Pierwszy Konkurs Literacki w Polsce.

W czasach, gdy konkursy wszelkiego rodzaju ogłaszają miasta, a nawet dzienniki, — a cały ogół społeczeństwa z zaciekawieniem oczekuje wyników konkursów szczególnie literackich, interesującem będzie zapoznać się z pierwszym konkursem, ogłoszonym w Polsce.

Wiek XVIII, a szczególnie epoka stanisławowska, obfituje w całe mnóstwo nadzwyczaj ciekawych dla psychologa typów, a to spowodu niezwykłych sprzeczności charakteru. Ludzie o wielkiej kulturze i wykształceniu, postępowi i liberalni, o szerszym widnokręgu społecznym — ceniący oświatę i chcący szerzyć ją wśród warstw ludowych — krzewiciele i opiekunowie sztuk pięknych, nauk oraz rzemiosł, dążący do rozwoju przemysłu i handlu w Polsce — równocześnie byli pozbawieni w większości zasad moralnych i etycznych. Również patrjotyzmu jak gdyby nie znali; pod tym względem byli daltonistami. Przykładów mamy dość — sam król Stanisław August, Seweryn Rzewuski, prymas Poniatowski, biskup wileński książe Massalski.

Luminarzem nauki, dbałym o włościan w osobistych i kapitulnych dobrach, szerokim w poglądach i mecenasem sztuk był zwłaszcza ten ostatni, a konszachty z Moskwą, okupione zresztą sromotną śmiercią na szubienicy w Warszawie w 1794 roku z rąk rozbestwionego tłumu *) nie mogą zasłonić i zdławić jego dobrych czynów i zasług, które bezsprzecznie istniały.

---

*) Kościuszko, przybyły do Warszawy, potępił ten odruch i nakazał sąd, który 7 osób skazał na śmierć.

W wielu wypadkach wyprzedza on swą epokę, zrywa z ciasnotą przekonań czyto społecznych, czy religijnych — a jeśli bierze pieniądze i jurgielty od wrogów (a niestety czynił to i sam król, a nie został powieszony, czynili znacznie lepsi moralnie od niego, a po latach nawet zapomnienia uważani za patrjotów), rozdaje, ba rozrzuca, hojnie wspierając artystów, łożąc na szkoły, zakładając szpitale i restaurując pod kierunkiem swego wychowanka Gucewicza katedrę wileńską, której ukończenia nie doczekał jednak ani opiekun, ani pupil. Ta katedra wileńska, o której od pewnego czasu pełno wzmianek w prasie polskiej od czasu odnalezienia przez architekta P e k s z ę zwłok króla Aleksandra i dwóch żon Zygmunta Augugusta — jest widomym świadkiem hojności, energji i twórczej myśli nieszczęsnego biskupa. Jeżeli w Warszawie pamiętają z wdzięcznością o królu Stanisławie Auguście, bo ją zdobił i upiększył, pomimo jego grzechów i zdrady, nie okupionej karą okrutną, to Wilno winno pamiątać, że nie należy zapominać o biskupie Massalskim, który za swe błędy poniósł karę należytą — a ozdobił miasto.

Niech historyk ścisły piętnuje go za zdradę, lecz badacz kultury nie odmówi mu zasług.

Troszczył się on niemało o stan wykształcenia podwładnego mu duchowieństwa, jako przykład tej dbałości niech posłuży ogłoszenie w Suplemencie Nr. I *) z dnia 6 stycznia 1770 roku Gazety Wileńskiej, wychodzącej pod dziwacznym tytułem: „Gazety Wileńskie“—Konkursu z nagrodami: **X. Biskup Wileński, przeświadczony, że rozum prawdziwie objaśniony, dopomaga do poprawienia obyczajów, jako też do utwierdzenia ludzi w wierze, wyznacza nagrody za ułatwienie 3 kwestji następujących i w ogólności innym, a w szczególności Litwie pożytecznych: 1) Które wiadomości i które cnoty potrzebne są dobremu plebanowi, ażeby chwalebnie zadość uczynił swoim powinnościom jako obywatel kraju i jako pasterz? oraz jakich należy użyć środków do tak wielkiego zamysłu?, 2) Jakaby powinna być edukacja młodzieży szlacheckiej, których urodzenie mniej sprzyja dostatkowi fortun, ażeby mogli stać się pożytecznemi Ojczyźnie, 3) Jakie nauki należy zastosować z pożytkiem dla wieśniaczej ludności, — cząstki wszak społeczeństwa ludzkiego, a tak u nas upodlonej.**

Będą troiste (sic) nagrody za ułatwienie każdej z tych kwestji: pierwsza nagroda będzie medal złoty ważący 30 czerwonych złotych, druga takiż medal wagi 20 czerwonych złotych, trzecia medal takiż wagi 10 czerwonych złotych. Rozdawane będą w czerwcu 1770 roku. Wolno będzie każdemu pisać w tej kwestji, którą sobie wybierze. Dysertacje mogą być pisane po łacinie, po polsku, po francusku lub niemiecku. Adresować prosto do JO. Xiędza Biskupa Wileńskiego; podpisywać własnym nazwiskiem w przyłączonym bilecie zapieczętowanym, gdzie będzie też sama sentencja, którą obiorą za inskrypcję do swej dysertacji. Biletów tych nie będą otwierać, tylko po osądzeniu dzieła, że w miarę doskonałości będą warte jednej z trzech nagród“.

Ten nadzwyczajny konkurs, ogłoszony w dzienniku w dodatku nie w Warszawie, a w Wilnie, był napewno pierwszym konkursem na ziemiach Rzeczypospolitej i charakteryzuje inicjatora z najlepszej strony. Zajmuje go poziom umysłowości wiejskiego plebana, przyczem na pierwszem miejscu stawia obowiązki **obywatela**

*) Suplement ten stanowi rzadkość bibljograficzną.

kraju, na drugiem — **pasterza,** — jeszcze jeden dowód szerokich poglądów autora konkursu, następnie **piecza o wychowanie niezamożnej młodzi szlacheckiej** i wreszcie ten szlachetny ton dla wieśniaczej ludności — cząstki społeczeństwa, **a tak upodlonej. Ten ciepły, współczujący stosunek do wieśniaków na 20 lat przeszło przed rewolucją francuską, przed deklaracją praw człowieka, przed konstytucją praw człowieka i obywatela przed manifestem** Połonieckim głęboko musi wzruszyć każdego. Zaduma ogarnia każdego głęboka, gdy zestawia Kościuszkę i Jasińskiego patrjotów, Kołłątaja radykała i magnata biskupa Massalskiego zdrajcę — wszystkich solidarnych w jednem — w **dążeniu do oświaty ludu i ulżenia jego ciężkiej doli.**

Dziwne zaiste czasy, a w tym porywie jakże piękne.

Wreszcie i forma konkursu zupełnie nowożytna z godłami, zapieczętowanemi kopertami.

Niestety, nic nie wiadomo nam o wyniku kunkursu i to jest smutne. Ta jasna karta z działalności humanitarno-społecznej nieszczęsnego biskupa niech rozświetli choć trochę ponury mrok, który otoczył jego tragiczną postać. W dobie, gdy w najokrutniejszych zbrodniach psychologowie doszukiwać się chcą ludzkich uczuć i zwalają ich zbrodnie na otoczenie, ba — na społeczeństwo, przypomnijmy, że i biskupa Massalskiego wydało zdeprawowane społeczeństwo, co zaś dobrego było w nim, sam był tego twórcą.

EUZEBJUSZ ŁOPACIŃSKI.

Farbowane serca i papierowe kwiaty.

Sprowadzono „Ufę". Sfilmowano naszą nędzę.

Na ekranach wszystkich większych miast Europy będzie można oglądać farbowane serca, sterty obwarzanek i błoto. Będzie zapewne fragment pochodu, który żałobnym krokiem zmierzał w kierunku zanieczyszczonego, w sposób nieprzyzwoity, placu.

Dodatek nadzwyczajny cieszyć się będzie „powodzeniem". Podziwiać go będą ludzie, którzy coś niecoś słyszeli zapewne o kulturze wschodu, tam gdzie wódka jest produktem pierwszej potrzeby popularniejszym niż mydło. Serja plastycznie odtworzonych scen mówić będzie o swoistej kulturze wileńskiej. Ach Boże, co za kompromitacja!!

Film ten nazywa się „Kaziuk Wileński".

I poco to wszystko było robić? Kto wpadł na tak szatański pomysł sprowadzenia kiniarzy do naszego miasta? Przecież wszystkie te uciechy „kaziukowe" mogły się odbyć w rodzinnym grodzie i basta! Ot, sobie kum z kumą pogadaliby i koniec na tem, a nasi wielcy dygnitarze nauczeni doświadczeniem nie popełnialiby już więcej tych samych grzechów.

Grzechem i to grzechem ciężkim była organizacja tegorocznego „kaziuka". Nie chcę bynajmniej nikomu robić przykrości. Z tem co powiem, zgodzi się niewątpliwie większość, a to mi wystarczy.

„Kaziuk" wileński ma tradycję. Jest imprezą jedyną w swoim rodzaju organizowaną w Polsce, ale dziwię się tym ludziom, którzy z Poznania, Warszawy, Lwowa, czy Krakowa, jadą do Wilna na „kaziuka" po to tylko, żeby zjeść serce nakrapiane zatrutą farbą, albo złamać ząb na starym obwarzanku, no i to błoto, to rzeczywiście największa i najpiękniejsza atrakcja. Ludzie jadą do Wilna nie z myślą zjedzenia serca. Tkwi w tem nieporozumienie. Po przybyciu na miejsce, już na samym dworcu wileńskim, zaczyna się rozczarowanie.

Rozczarowanie! Tak jest rozczarowanie, które jak choroba zjada cały organizm turysty — gorzej od cholery.

Iluż ludzi wyjechało w tym roku z Wilna pełnych rozczarowania i ludzie ci są dla nas straceni. Już nigdy więcej nie zechcą przyjechać do Wilna. Nie potrafi ich przekonać najbarwniejszy afisz, nie uwierzą słowom feljetonu. Nic nie pomoże. W najlepszym razie zaczną Wilno traktować z lekceważeniem.

O to jakie są skutki złej organizacji. Są oczywiście i inne, które już może nietyle wiążą się z prestiżową stroną, miasta ile z gospodarczą, poprostu biją po kieszeni.

Są przecież miasta w Europie, które mają swoje dni obchodzone w sposób uroczysty. Organizowane są: pochody, zabawy ludowe, widowiska i jarmarki, ale

tam zagranicą tępi się tandetę. Tam do każdej imprezy organizatorzy przygotowują się całemi miesiącami, a sprzęt nie ginie, lecz przechowywany jest z roku na rok.

Jakże można było kilkudziesięciu żołnierzy posadzić na konie, włożyć im papierowe czapki i reklamować jako tych, którzy pod wodzą Beliny oswobodzili Wilno? Gdzie tu kult, historja, szacunek dla przeszłości?

Jakże można było pozwolić, aby wojskowi wieźli transparenty? Dlaczego sprawami temi nie zajmie się młodzież, strzelcy, bo ja wiem kto, ale w każdym bądź razie wojskiem dziur zapychać nie można!

Stroje... ciężkie czasy... brak pieniędzy.....

Albo z tą świetlicą na wozie. Młodzież jedzie zaczytana w książkach, gazetach. Koledzy grają... aha!... to szachy?... bo tak zdaleka myślałem, że to karty... Wózek powożony jest przez wąsatego „kmiecia“, któremu z pod kołnierza wyłażą wężyki wojskowe i guziki z orzełkami. To są przecież kpiny, ale kto śmie kpić z nas wszystkich?

Czego się nie robi dla idei. Pomóc — dobrze! Telefony — będą! Samochód — czeka! Konie — na którą godzinę? Fury — podjadą pod sam dom! Możnaby tak pisać i pisać.

Pomoc jest zapewniona. Trzeba tylko wziąć się do pracy i wszystko starannie obmyśleć. Przecież, mając tak wielkie udogodnienia, można organizować liczne konkursy, organizować turnieje. Wogóle „kaziuk“ powinien stać się nie dniem propagandy tandety, nie świętem sprzedawania papierowych kwiatów i serc farbowanych, ale dniem Wilna, dniem propagandy naszych kresów. Jest jeden zasadniczy warunek. Muszą być pieniądze. To trudno i darmo. Pieniądze na te rzeczy muszą się znaleźć, bo inaczej szkoda gadać. Pieniądze potrzebne są chociażby po to, żeby wywieść w ciągu kilku godzin całe błoto z placu Łukiskiego, żeby powierzyć stronę dekoracyjną „kaziuka“ studentom z Wydziału Sztuki. Straganiki na placu też muszą przybrać inny wygląd.

Tradycja, tradycją, ale trzeba się modernizować, a w pierwszym rzędzie dbać o czystość, a wówczas niech sobie przyjeżdża „Ufa“, niech filmuje. Będziemy wdzięczni za przeprowadzenie pięknej propagandy.

Słów kilka o samym pochodzie. Wychodzę z założenia, że lepiej mało a dobrze. Poco robić wielkie zbiegowisko, a potem zgubić się w chaosie? Musi to wszystko odbywać się na wesoło, z pogodą życia, ale bogato, z przepychem. Przysłowie mówi, że „pana poznać po cholewach“, a cóż dopiero mówić o królewiczu, którego w pochodzie ubrano w tandetne „gronostaje“ wypożyczone z rekwizytorni teatru.

Chodzi po Wilnie gadka, że największy interes zrobili na „kaziuku“ sprzedawcy kaloszy. Wogóle wyroby gumowe cieszyły się szalonem powodzeniem. Bat'a wyprzedał wszystko co miał i jeszcze sprowadził nowy transport, i ten poszedł.

Dajmy już „kaziukowi“ spokój. Niech nabierze sił, a za rok zobaczymy jak będzie. Może spotkamy się nie na placu Łukiskim i niekoniecznie 4 marca, bo jeżeli termin ten czasami nie odpowiada ze względów atmosferycznych, to nikt nikogo nie powiesi i nie poda do sądu, gdy całą tę zabawę przesunie się np. o dwa tygodnie naprzód.

„Kaziuk“ włączony został do szeregu imprez turystycznych. W rzeczywistości nie ma on nic wspólnego z turystyką, ale jeżeli już większość tak chce, a musi chcieć, bo korzysta z biletów turystycznych, to i ja już nie będę się upierał, a przy tej sposobności powiem kilka słów o naszej turystyce wogóle.

Mówi się, że Wilno spi, że w społeczeństwie brak jest zrozumienia wagi spraw turystycznych, a jednocześnie mówi się o Wilnie, jako o mieście pięknem, miłem, o mieście gościnnem.

Piękna mi gościna, gdy niema gdzie przenocować, a że tak jest, to fakt. Niech przyjedzie do nas z 2 — 3 tysiące ludzi, to już odrazu następuje przeludnienie. Jest tłok, zamieszanie. Powstaje „pasek“ i rozczarowanie, a Wilno jest piękne i miłe. Nikt temu przecież nie zaprzeczy, bo Wilno na fotografjach jest rzeczywiście rozsłonecznione i miłe. Nie wszystkim wszystko dane jest oglądać. Proszę naprzykład wybrać się nad Narocz, albo do Trok w białych spodniach i jedwabnej koszuli sportowej. Turysta wróci jak murzyn. Śmierdzieć będzie śledziem i czort wie czem. Autobusy! Zadusić się można, a jeszcze nie daj Boże kicha nawali, to już rzeczywiście skandal, bo może i pociąg odejść i przejść termin płatności weksla i randka zginąć. Słowem nieszczęście. A jednak o tem wszystkiem mówi się...

Mówi się. U nas wogóle ludzie lubią dużo mówić. Na konferencjach sypią się, jak popiół na głowę pokutnika, liczne projekty, ale projekty te projektami pozostają. Ileż to lat mówi się o bocznicy kolejowej do Trok. Zamiast bocznicy przekopano kanał. Myślano, że przynajmniej w ten sposób nastąpi lepsze połączenie z Trokami, a tu tymczasem, jak na ironję losu, uciekła z kanału woda i teraz jest tylko rów.

A jednak władze kolejowe od kilku lat samodzielnie propagują turystykę wileńską, wkładając w ten interes tysiące złotych, organizując pociągi popularne, wydając broszury, ulotki i afisze propagandowe. Te wszystkie jednak dobrodziejstwa, ułatwienia i okazje zaprzepaszcza się na miejscu. A dlaczego i jak — to pokazał nam właśnie tegoroczny kaziuk.

Narocz! Jezioro jak okiem sięgnąć. Ta największa w Polsce „kropla wody“ nie posiada dogodnego połączenia. Trzeba siadać, przesiadać, tłuc się po wagonach, jechać taratajką aż wreszcie gdy siły zaczną opuszczać ujrzy się „morze wileńskie“.

O wileńskich szlakach wodnych zapomina się, a przecież to skarb. To tak jak nafta, jak sól w Wieliczce, jak węgiel na Śląsku.

Woda płynie spokojnie. Ona ma czas. Poczeka, ale życie nie chce czekać i czekać nie będzie.

Ot jedzie sobie taki z bożej łaski turysta. Włóczy się po rzekach. Pije mleko, je smażone jaja i chwali Niebo, ale przeklina organizację.

Przewodnik turystyczny byłby skarbem w ręku kajakowca. Byłby dla niego vademecum urlopu. Mieszkańcy wsi i zaścianków położonych nad brzegami wód Wileńszczyzny patrzą na kajakowiczów jak na djabłów. Nikt im nie powiedział, że turysta nie jest żebrakiem, że turysta może zapłacić za nocleg, że wiezie z sobą kilka złotych, które z chęcią zostawi na wsi.

Pieniądze płyną, tak jak woda. Przelewa się fala za falą. Na zegarze świata biją godziny postępu, tylko Wilno i Wileńszczyzna nie mogą dostosować swgo kroku w ogólnym pochodzie.

Czy długo jeszcze tak będzie? Nie wiem. Może rok, dwa, a może jeszcze dłużej, w każdym bądź razie sprawa nie jest łatwa, ale czas najwyższy zająć się nią i zrobić przysłowiowy „małpi zastrzyk”.

Zastrzyk nie energji, nie chęci, ale zastrzyk systematyczności! Chęci są, energja też się znajdzie, ale brak jest programu pracy wśród naczelnych władz

turystycznych. Kilku ludzi dobrej woli może zrobić cuda z turystyki, a wówczas Wilno przestanie się kompromitować.

Turystyka i sport — to przecież zdrowie, a zdrowie ten największy skarb życia — to szczęście może Wileńszczyzna rozdawać garściami.

JAROSŁAW NIECIECKI.

Propaganda Wilna.

Wilno, wspaniałe miasto zabytków, które Wielki Marszałek Polski nazwał „miłem miastem", staje się powoli poważnym ośrodkiem turystycznym. Wilnem interesuje się nietylko Polska zachodnia, ale i z zagranicy przybywa z każdym rokiem coraz więcej turystów. Przypisać to należy w pierwszym rzędzie dobrze postawionej i prowadzonej propagandzie w kraju i zagranicą, a spoczywającej w rękach Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji.

Różnojęzyczne afisze Wilna spotkać można nietylko na wszystkich stacjach kolejowych w kraju, ale i zagranicą. Głoszą one tam piękno historycznego miasta. Pozatem nasze placówki dyplomatyczne niemało przyczyniają się do propagowania Wilna i ziemi wileńskiej na obczyźnie. Lecz i tu Wydział Turystyki Ministerstwa Komunikacji położył duże zasługi, wydając mnóstwo broszur i pięknych afiszów o naszym regjonie.

Niestety, w tej akcji propagandowej Ministerstwo Komunikacji jest odosobnione. Ani zarząd miasta, ani też, najbardziej powołany do tego — Związek Propagandy Turystyki Wilna i ziemi Wileńskiej nie poczyniły żadnych kroków, aby Wilno i Wileńszczyznę odpowiednio propagować w Polsce i, jeśli już nie zagranicą dalszą, to chociażby w krajach sąsiednich. Mówiąc bez przesady, cała akcja i ciężar propagandy spoczywa w rękach Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji i, ostatnio, także w rękach Ligi Popierania Turystyki.

Mógłby ktoś tu powiedzieć, że zarząd miasta (ściągający podatki i pobierający wysokie opłaty za elektryczność) i Związek Prop. Tur. nie posiadają na to odpowiednich funduszów. Skolei jednak należy podkreślić, że przecież miasto i Związek w pierwszym rzędzie zainteresowane są ściąganiem do Wilna jaknajwiększej ilości turystów i „wycieczkowiczów". Dzieje się jednak inaczej. Miasto i Związek, nie rozumiejąc, czy też nie chcąc tego zrozumieć, do akcji propagandy odnoszą się obojętnie. Instytucje te nie ujawniły dotychczas żadnej inicjatywy. Działalność Związku Prop. Turystyki ograniczyła się zaledwie do przeprowadzenia kilku okolicznościowych imprez i do obsługi turystów, przywiezionych do Wilna pociągami specjalnemi.

Stworzył się więc stan paradoksalny — Związek Prop. Turystyki ogranicza swą działalność do akcji na miejscu, nie wychodząc poza te ramy ani na jotę, miasto do zagadnienia turystyki odnosi się obojętnie; Wilno i Wileńszczyzna propagowane są przez Kolej i Ligę Popierania Turystyki bez najmniejszego udziału w tej akcji miasta i Związku.

Inne i jakże odmienne przykłady dały Warszawa, Kraków, Krynica, Zakopane. Tam akcja propagandy jest wspólnie prowadzona we wzajemnem porozumieniu i pomocy, to też rezultaty są imponujące.

Na miejscowe biura podróży liczyć nie można i nie należy, gdyż są to instytucje o charakterze merkantylnym i zainteresowane są raczej w dochodach, niż w prowadzeniu akcji poniekąd ideowej.

Taki stan rzeczy dłużej trwać nie może. W interesie Wilna i ziemi Wileńskiej leży, aby propagandę wzmóc, aby przy tak wybitnem poparciu Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, jeszcze więcej ożywić. Wilno winno i musi mówić o sobie, Wilno winno wciskać się na rynek turystyczny, dając zawsze znać o sobie. Bogactwo Wilna i jego okolic (wspaniałe Troki, piękne Jeziora Zielone, Werki) to materjał turystyczny pierwszorzędnej wartości. A nie trzeba zapominać, że jeśli turysta do Wilna przybędzie — to już tylko krok od podniesienia pieniędzy z ziemi — przyjezdny płaci bowiem za wszystko gotówką.

Te właśnie względy przemawiają za tem, aby nareszcie Wilno zrozumiało swoją rolę i aby nareszcie przystąpiło do propagowania swych wartości. Im później to nastąpi, tem gorzej będzie dla miasta, tem więcej czasu trzeba będzie zużyć, aby straty odrobić.

Nowy skład zarządu Związku Prop. Turystyki pozwala wróżyć, że jeśli nie wszystko, to chociaż najważniejsze sprawy akcji propagandy ulegną zasadniczej poprawie i nowy zarząd ZPT potrafi wpłynąć na zarząd miasta, aby zagadnieniu turystyki i propagandzie Wilna poświęcał więcej uwagi.

F-k Ł-i.

Bałagan urbanistyczny.

(*Deklaracja nadzwyczajnego walnego zgromadzenia Rady Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych*).

Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych, rozszerzona w ostatnich czasach i reprezentująca opinję organizacyj kulturalno - artystycznych Wilna, poczuwając się do szczególniejszej odpowiedzialności za przyszłość kultury miasta, uważa za swój obowiązek złożyć następujące oświadczenie.

Wilno jest bastjonem Rzeczypospolitej. Zwrócone są na nie oczy całej Polski i krajów sąsiednich. Wilno ma obowiązek godnie podtrzymywać tradycje i rolę stolicy rozległych ziem, skupiających się od wieków wokół niego, jako swojego ośrodka.

Do spraw najważniejszych należy ponad wszelką wątpliwość, obok gospodarczych, społecznych, naukowych i t. p., sprawa godnego reprezentacyjnego, a przynajmniej nierażącego wyglądu miasta. Tymczasem jest ono w najwyższym stopniu zaniedbane i nieudolnie przekształcane, kosztem wielkich, a często niepotrzebnych wydatków.

W ten sposób zamiast przyciągać rzesze turystów, zraża się je i odpycha. Zamiast promieniować kulturą na okoliczne ziemie, daje się zły przykład. Zamiast zadawalniać mieszkańców, płacących miastu podatki, gorszy się ich i zniechęca. Narastająca coraz więcej fala skarg i publicznych wystąpień jest tego jaskrawem świadectwem.

Brak ogólnego planu zabudowy miasta i związany z tem brak fachowego realizowania szczegółów, prowadzi do rezultatów opłakanych, powoduje bezład, straty gospodarcze.

Ogałaca się z drzew oszpecone brzegi Wilji; wycina się stare i przepiękne, na drodze ku cmentarzowi Rossy. Wyolbrzymia się względy komunikacyjna, rozkopuje się bezcelowo a kosztownie, ulice i pagórki, obniżając lub podnosząc tereny i zatracając piękno naturalne miasta. Zamierzano nawet zburzyć mur za-

bytkowy, stanowiący część składową wspaniałego kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu, wbrew wszelkim, starym czy nowym, zasadom urbanistycznym.

Bezsensowne wykopy na linji Piwna—Rossa, pod murami Wizytek, pomimo naporu opinji publicznej, zredukowano zaledwie w drobnej części.

Wszystko to, obok wielu innych jeszcze bolączek, obok znanych nam nieprawdopodobnych, ośmieszających zamierzeń, świadczy, że dzieje się źle.

Dla ludzi prawdziwie kochających Wilno i jego piękno, przyszłość miasta przedstawia się groźnie.

Jasnem jest, że w kierownictwie tak rozległemi i tak trudnemi sprawami, **za wiele głosu ma w Zarządzie Miasta grono techniczne o jednostronnem nastawieniu, o nadmiernych ambicjach,** o nadmiernem też **uprzywilejowaniu.** Skutek to pomijania sfer architektonicznych i wszelkich reprezentantów rzetelnej kultuy estetycznej.

Temu to bowiem gronu technicznemu zawdzięczamy nieszczęsne zaniedbania i przeobrażenia, powszechnie atakowane projekty pseudo-urbanistyczne, w rodzaju realizowanych na Piwnej; projekty, których wbrew rozpowszechnianym pogłoskom, nie narzuciła nam w najmniejszym stopniu Warszawa.

Pomimo długotrwałych nalegań i wbrew niejednokrotnym obietnicom, Wilno nie może doczekać się do dziś dnia fachowego urbanisty. Podpisanie umowy z prof. Romualdem Guttem, urbanistą o wybitnej kulturze, jest bez końca i niepokojąco odwlekane.

W przekonaniu, że każdy urbanista poważny pragnie współpracy z reprezentacją fachową,— a niefachowa, będzie mu tylko kulą u nogi,— przedstawiciele instytucyj i stowarzyszeń poświęconych architekturze i sztukom pięknym, zawiązali się od dwu miesięcy, — za pośrednictwem T-wa Miłośników Wilna, — w społeczną Komisję Urbanistyczną, w składzie 16 osób. Oprócz delegatów zrzeszeń z liczną reprezentacją Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej, Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu S. B. i t. d., — wchodzą do niej: konserwator, architekt miejski i przedstawiciel Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Grono to, zawiązane z **wiedzą Prezydenta Miasta** Maleszewskiego, zgodnie z jego postanowieniem, na swego przewodnika powołało Wice-Prezydenta Miasta T. Nagurskiego. W ten sposób dano wyraz najlepszej woli współpracowania z Zarządem Miasta a nie przeciwstawiania się jemu,—żądając tylko roli Komisji opinjodawczej, nie zaś decydującej.

Niestety po paru miesiącach pertraktacyj i prac konkretnych Komisja, — zamiast doczekać się realizacyj czynionych nadziei i zamiast uznania jej za oficjalną przy boku Prezydenta, została zaskoczona ostatnią uchwałą Rady Miejskiej, wedle której dnia 23 kwietnia dokonany będzie wybór Komisji innej **radzieckiej,** do tych spraw.

Według obowiązującego a przestarzałego regulaminu, wszystkie komisje radzieckie kierują się zasadą obsadzania w nich stanowisk... wedle **klucza partyjnego!**

Nawet gdyby członkowie dotychczasowej Komisji fachowej zechcieli, co jest zbyt wątpliwem, przyjąć stanowiska przy tak monstrualnej zasadzie, to wedle wszelkich obliczeń byliby tam stale majoryzowani.

Możliwości innego ujęcia sprawy dowodzi istnienie przy Prezydencie Miasta Komisji opinjodawczej Teatralnej, która została zorganizowana wyłącznie na zasadzie kompetencji osobistej.

Rada Wil. Zrzesz. Art. podaje do publicznej wiadomości, że zasadzie stosowania klucza partyjnego do spraw apolitycznych sprzeciwia się kategorycznie. Dość już Polsce zaszkodziły „klucze partyjne", prowadzące do zmajoryzowania fachowców przez dylentantów. Rada W. Z. A. wyraża przekonanie, że wielu Panów Radców Miejskich, zaskoczonych nagłym wnioskiem, nie mogło się zorjentować ani w istnieniu tak przestarzałego w tym wypadku regulaminu, ani w jego skutkach.

Rada W. Z. A. apeluje do Panów członków Rady Miejskiej i do Pana Prezydenta Miasta, aby mocą swych uprawnień wspólnych uniemożliwili stosowanie tu szkodliwych regulaminów.

Rada W. Z. A., chcąć dać wyraz swemu uznaniu dla dotychczasowych wysiłków i poczynań społ. Komisji Urbanistycznej, postanowiła jednogłosną uchwałą nadzw. Walnego Zgromadzenia z 8.IV b. r. zaprosić wymienioną Komisję do swej organizacji, dla stworzenia wspólnego frontu obrony dóbr kulturalnych Miasta. Sądzimy, że w tem dążeniu Rada Miejska zjednoczy swoje wysiłki z naszemi

WANDA DOBACZEWSKA
Sekretarz R. W. Z. A.

KONRAD GÓRSKI
Prof. U. S. B.
Prezes R. W. Z. A.